MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII NR 29 WARSZAWA 3 LIPCA CENA NUMERU 80 GR

FRANCJA I EUROPA

WOJNA domowa w Hiszpanii przeciąga się i nic nie zapowiada, by kryzys wewnętrzny w Czechosłowacji, wywołany żądaniami Niemców sudeckich, miał się ku końcowi. To i tamto wywołuje fermenty w całej Europie i stwarza niebezpieczeństwo wojny.

Co jest przyczyną główną obydwóch zaznaczonych powyżej zjawisk? Odpowiedź jest jasna: słabość Francji.

Wyobraźmy sobie bowiem, że Francja jest silna, ma zdecydowaną i dobrą politykę. Wówczas nie tylko nie było by zaopatrywania czerwonych w Hiszpanii w ludzi, broń i amunicję, ten cały wyraz wpływów francuskich był by rzucony na wagę po stronie Hiszpanii gen. Franco i wojna domowa rychło by dobiegła do końca. Wówczas Niemcy sudeccy, czerpiący zachętę i natchnienie w Berlinie, byliby o wiele skromniejsi i skłonni do ugody.

A gdyby nie było wojny domowej w Hiszpanii i gdyby Niemcy sudeccy byli mniej wymagający, to Europa była by w o wiele większym spokoju.

Wobec tego, co powiedziano powyżej, wypada sobie postawić takie pytanie. Dlaczego Francja prowadzi politykę, będącą przyczyną jej słabości? Czy niema żadnych widoków na to, by Francja zmieniła swą orientację polityczną, a przez to odzyskała swą pozycję w Europie?

Polityka powojenna Francji, polityka, która sprawiła, że dziś mówi się o zwycięstwie zwyciężonych, jest oparta na pewnej doktrynie politycznej, jest logicznym wynikiem zapanowania we Francji ideologii Wielkiej Rewolucji Francuskiej, która życie państwa i narodu miała oprzeć na zasadach wolności, równości i braterstwa. Traktaty zawarte w wyniku wielkiej wojny (1914 — 1918) były oparte, jak na fundamencie, na zasadzie, że wymienione powyżej hasła będą urzeczywistnione w życiu międzynarodowem. Wojen miało nie być, a zrodzona w lożach Liga narodów miała regulować wszelkie spory i zatargi między narodami. Zgodnie z temi założeniami była i jest prowadzona polityka zewnętrzna Francji. System polityczny na tych założeniach oparty jest główną przyczyną odrodzenia siły niemieckiej i szeregu zwycięstw niemieckich w walce o zwalenie traktatu wersalskiego. I, niestety, mimo szeregu smutnych doświadczeń, nie mogą się zdecydować kierownicy polityki francuskiej na zerwanie z systemem dotychczasowym, który przyniósł tyle klęsk i niepowodzeń.

Dlaczego? Dlatego, że rządzi we Francji elita, rekrutowana w lożach, lub od lóż zależna, a więc zmuszana do trzymania się tych zasad politycznych, które były przez stulecie z górą podstawą polityki francuskiej.

Jeśli twierdzenie powyższe uznać za słuszne, to narzuca się z całą siłą i oczywistością wniosek taki: polityka zewnętrzna Francji tylko wówczas radykalnie się zmieni, porzuci złudzenia genewskie i porwie węzły łączące ją z rewolucją powszechną i z jej agentami, jeśli nastąpi zmiana elity rządzącej we Francji, jeśli masoneria przestanie mieć władzę w swem ręku.

Któż zaś może zastąpić dotychczasową warstwę kierowniczą we Francji, kto może usunąć wolnomularstwo od steru?

Odpowiedź jest tylko jedna. Ruch narodowy, nazywany we Francji nacjonalistycznym. Ruch taki istnieje, najsilniejszą jego częścią jest nacjonalizm integralny grupy „L'Action Française". Są obok tej grupy także i inne. Nie będziemy ich w tej chwili wyliczali, nie będziemy usiłowali przepowiadać przyszłości i tego, kto jaką odegra rolę i jakie są zapowiedzi przyszłych wydarzeń. Chodzi nam w tej chwili o wniosek ogólny — tylko dojście do władzy przedstawicieli ruchu nacjonalistycznego może doprowadzić do radykalnego przeobrażenia polityki zagranicznej Francji i stosunków wewnętrznych w tym kraju, przeobrażenia takiego, któreby z Francji znów zrobiło poważny czynnik w polityce europejskiej.

A jeśli tak, to rewolucja narodowa we Francji staje się dziś zagadnieniem nie tylko francuskiem, lecz europejskiem, międzynarodowem. Gdyby we Francji, za wzorem innych krajów naszego kontynentu dokonała się rewolucja narodowa, to wydarzenie to wpłynęło by w sposób decydujący na układ stosunków politycznych w Europie, wzmocniło by dążenia pokojowe, wprowadziłoby naruszoną dziś na korzyść Niemiec równowagę, nadało by nowe zgoła oblicze Europie i ustabilizowało by stosunki polityczne.

Czy na rewolucję taką się zanosi? Sądzimy że tak. Uzasadnienie jednak tej opinii musimy odłożyć do innej okazji.

STANISŁAW KOZICKI

PREZYDENT SMETONA
A SPRAWY WEWNĘTRZNE LITWY

FAKT, że prezydent Litwy, Smetona obchodzić będzie niebawem dwudziestolecie swoich rządów, posiada, dla mnie przynajmniej, swoją wymowę. Świadczy on, że osoba „wodza narodu" litewskiego, jak się tam Smetonę nazywa, związana została nowemi węzłami z powstaniem tego państwa oraz jest dowodem, że pomimo zmieniających się kilkakrotnie rządów, prezydent jest wyrazicielem jednego określonego oddawna kierunku. To też mówić, bądź pisać o Smetonie równoznacznem jest z rzutem oka na całokształt spraw z niepodległością Litwy związanych. Odwrotnie — nie sposób jest poznać wszystkich spraw tego kraju, nie przyjrzawszy się wieloletniej, ideowej działalności jego „wodza".

Pod wiejską strzechą w wiłkomierskiem przychodzi Smetona na świat w roku 1874-ym. Już w czasie pobytu w rosyjskiem gimnazjum w Mitawie wykazuje żywe zainteresowanie sprawami przyszłej niepodległości. Styka się Smetona naówczas z ludźmi tej miary, co natchniony poeta, — Maironis, aktywista litewski ks. Tumas i fanatyczny pionier prasy ówczesnej, Piotr Wilejszys.

Podobnie jak w b. Kongresówce, kiełkują na Kowieńszczyźnie prądy wyzwoleńcze, tajne nauczanie oraz bibljoteki ruchome. Grono wspomnianych ludzi nadaje w tym okresie ton konspiracyjnej robocie politycznej. Wydalony z gimnazjum za szerzenie „buntu" wśród młodzieży, Smetona emigruje nad Newę, gdzie spędza lat kilka pod nadzorem policji rosyjskiej. Tymczasem nadchodzi rok 1905, a wraz z nim efemeryczne swobody polityczne, sięgające i do Litwy.

Wilno staje się więc ośrodkiem litewskiego ruchu niepodległościowego, chociaż najdalej idącym wnioskiem była tylko — autonomia. Tu tworzy się kursy dokształcające, powstaje pierwsze pismo, „*Vilnians Zimos*" pod redakcją Wilejszysa, tu osiedlają się uczeni litewscy z dr. Bassanowiczem na czele. Smetona pojawia się w r. 1906 na bruku wileńskim i przyczynia się swym młodzieńczym idealizmem do rozkwitu prac niepodległościowych. Przybywa nowe pismo polityczne „*Viltis*", doskonale redagowane przez ks. Tumasa, w którym dzisiejszy prezydent stawia pierwsze kroki jako publicysta. Tu zastaje go wojna europejska. Metody pracy zmieniają się. Młody jeszcze Smetona wyzyskuje umiejętnie swoje wpływy w Komitecie Obywatelskim m. Wilna, nawiązuje stały kontakt z Kownem, naówczas 40-tysięcznem miastem gubernialnem, co najważniejsza, przyczynia się do uzyskania od okupantów zezwolenia na otwarcie Taryby — pierwszego na Litwie ciała parlamentarnego.

Rezultaty tyloletniej, nawskroś ideowej pracy Antoniego Smetony nie kazały długo na siebie czekać. Już w r. 1918 Litwa jest państwem niepodległem a zasłużony działacz staje na czele, jako prezydent i „wódz narodu" w jednej osobie. Odtąd życie wewnętrzne Litwy kierowane jest przezeń, w niektórych zwłaszcza dziedzinach, z wyjątkowem znawstwem. Z wykształcenia i pochodzenia rolnik, orjentuje się Smetona doskonale, że w kraju blisko 80% rolniczym zagadnienie reformy rolnej nabiera szczególnego znaczenia. Ta reforma, rozpoczęta już w r. 1921, a przeprowadzona po pamiętnym puczu Waldemarasa, spowodowała, że cały szereg wielkich majątków ustąpić musiał miejsca 150-hektarowej normie posiadania. Wytworzyło to, jak wspomniałem uprzednio, powstanie nowych wsi osadniczych, czyli tak zwanych na Litwie „kolonij", wyglądających na mapie, jak oazy, ale wydajność których a zarazem samowystarczalność przyczyniły się w sposób bardzo znamienny do zwalczenia kryzysu ekonomicznego. Co więcej, spowodowały one, jak na Łotwie, oddłużenie rolnictwa i wzrost dobrobytu kraju.

Jeśli idzie o rozbudowę, mądrem posunięciem Prezydenta była odezwa do wielotysięcznej emigracji litewskiej za Oceanem. Spowodowała ona tak szybki i obfity napływ waluty obcej do Litwy, że plany rozbudowy Kowna, trakcji autokarowej i innych inwestycyj dały się tam zrealizować o wiele szybciej, niżby to było możliwe o własnych środkach.

Niemniej ważną sprawą wewnętrzną było o d ż y d z e n i e k r a j u. Proszę nie zapominać, że w pierwszych latach niepodległości kapitał żydowski stanowił główną podstawę równowagi budżetowej, był on poprostu k o n i e c z n y dla bytu państwowego. Spowodowało to, rzecz prosta, wieloletnie uzależnienie się od przeróżnych pośredników rolnych, związków i stowarzyszeń obcych Litwie pod względem narodowościowym. Inicjatywa Smetony w zakresie powstania trzech wielkich Spółdzielni, obejmujących, jak pisałem dawniej, przetwory nabiałowe, maszyny rolnicze oraz eksport bekonów, — zaważyła całkowicie na kwestji odżydzenia kraju z pominięciem tych jaskrawych represyj, jakie podszeptywał jej pobliski Berlin. Naturalna droga konkurencji cen i scentralizowania dostawy produktów z pierwszej ręki przyczyniła się do rozwiązania tak drażliwej zazwyczaj sprawy unarodowienia handlu w sposób godny uznania. Nie udało się atoli Smetonie rozwiązać tak łatwo kwestji litewsko - polskiej. Wyręczyło go w tym znacznie później samo życie. A przecież tak, jak w budownictwie stolicy litewskiej widnieją dla mnie rzucające się w oczy kontrasty pomiędzy nowem, a — dawnem Kownem, tak w społeczeństwie litewskim po dzień dzisiejszy widnieje w a l k a d w u p o k o l e ń.

Jedno z nich, pamiętające czasy przedwojenne, wykształcone na Wszechnicy Warszawskiej, czy Krakowskiej, wydało ludzi tak genialnych jak artysta-wizjoner Çzinrlionis, historyk Bassanowicz i wielu im podobnych, drugie wyrosłe już po wojnie, odgrodzone siecią wiech granicznych od Polski, a więc nie znające dostatecznie jej wartości kulturalnych, ustosunkowało się do spraw powyższych w sposób raczej radykalny, niż pełen zrozumienia. Walkę tych dwu pokoleń widzi się na Litwie coprawda jedynie w miastach, gdyż wieś litewska pozostaje — mam to wrażenie — na uboczu spraw politycznych. Jak przed wojną, poniewieskie i wiłkomierskie odznacza się zamiłowaniem do prac rękodzielniczych, a długie wieczory zimowe dają włościanom litewskim obfite rezultaty w postaci tysięcy metrów płótna, haftów, ręczników wzorzystych i korzystnie sprzedawanych rękawic ludowych. Zaglądając autokarem na wieś, nie wyczuwa się w obcowaniu z ludem tych tarć politycznych, o których pisałem na asfalcie nowego Kowna.

Fakt, że Litwa posiada blisko 80% drobnych rolników, byłby w tem zrozumieniu pocieszający, świadczyłby bowiem logicznie o możliwości unormowania wielu, dotychczas zaognionych spraw na platformie zbliżenia się do ludu, który ilościowo i jakościowo najwięcej ma o tem do powiedzenia. Miasto, a — wieś, oto dwa odmienne poglądowo środowiska, od porozumienia się których zależeć będzie, zdaniem mojem, nie tylko odprężenie w dotychczasowych stosunkach z nami, ale i ich trwała i rozumna konsolidacja.

W-b.

IN RE III.

PRO MODO

OŚWIETLONY w poprzednim ciągu („Pro Deo") atak p. Mosdorfa na moje pogaństwo nie był rzeczowy, ale, że tak powiem, straszakowy. Nie był to wywód naukowy, argumentami i rozumowaniem zbrojny, ale, poprostu, w imieniu ustalonego kodeksu wygłoszony akt oskarżenia, oparty nadomiar, jak to wykazałem na danych dowolnie wymyślonych. Może on nastraszyć wielu poczciwych obywateli i rozeźlić ich na mnie, ale nie wykazał nawet dążenia ku temu, żeby udowodnić niesłuszność mojego stanowiska. Swoisty ten sposób (*modus*) postępowania polemicznego, podobnemi sposobami wielokrotnie uzupełniany, przeciwnik mój stosuje w całej swojej odpowiedzi. Sposoby te, znane i napiętnowane w logice, widoczne są już w książce „Wczoraj i Jutro", a to pod postaciami różnorodnie błędnych rozumowań i twierdzeń poznawczych, ale w odpowiedzi polemicznej mojego przeciwnika nabrały takiej wyrazistości i tak ją wypełniły, że poziom sporu został w niej obniżony, mówiąc językiem geografów, aż do stopnia „depresji" moczarowo - trzęsawiskowej. Z konieczności zatem, obok rozumowanej obrony mojego stanowiska, muszę te sposoby przeciwnika odsłaniać, z czego powstał tytuł ciągu niniejszego.

Nawiązując do rozpoczętych w pierwszym ciągu („Pro domo") punktów „pomniejszych", poprowadzę je tu dalej pod kolejną z tamtego ciągu numeracją. Teraz kolej na numer czwarty.

4. Pomimo wyraźnego swego oświadczenia, że posiada wykształcenie filozoficzne, przeciwnik mój znowu (jak w punkcie drugim) powołuje się na autorytet, a to w sprawie Nietzschego, którego poniża w tem mniemaniu, że przez to i mnie, jako „nietzscheanistę" poniżeniem dosięgnie. Powołuje się, mianowicie, na umieszczoną w Nr. 19 „Myśli Narodowej" krótką notatkę p. Stanisława Czajkowskiego, w której powiedziano, że „Wola mocy" i „Zaratustra" Nietzschego są „prawowitymi owocami spinozjańskiego siewu, wysnuciem tylko wszelkich konsekwencyj logicznych z postawionych przez Spinozę podstaw moralnych". Przyczem przeciwnik mój utrzymuje, że p. Czajkowski w notatce swej „udowadnia" ten pogląd, co jednak nie zgadza się z prawdą, bo notatka ta żadnego na to dowodu nie podaje. Nie przeszkadza to jednak p. Mosdorfowi do złośliwego tryumfu, że oto:

> „okazuje się więc, że filozofja pana Pieńkowskiego uległa się przed 300 laty w głowie „jednego z oszustów mafji żydowskiej"...

Ostatnie słowa są umyślnie wzięte odemnie i stanowią aluzję do żydowskości Spinozy. Na domiar, przeciwnik mój jeszcze i ten swoisty chwyt logiczny tu stosuje, że w tryumfie swoim woła o filozofji, podczas gdy notatka mówi tylko o moralności.

Otóż cały ten na takim autorytecie oparty pogląd p. Mosdorfa jest z gruntu mylny, co łatwo każdy student filozofji w rozprawie doktorskiej udowodnić mógłby. Ja tu z braku miejsca zwrócę uwagę na trzy tylko pomiędzy Nietzschem a Spinozą przeciwieństwa zasadnicze:

a) Wiadomo, że największą wadą nauki o moralności w systemie Spinozy jest całkowite w niej pominięcie strony uczuciowej w naturze człowieka (co jest czysto żydowskie...). Natomiast najwybitniejszą cechą nauk moralnych Nietzschego (nauk, bo systemu nie stworzył) jest oparcie ich nie na rozumie, jak u Spinozy, ale na uczuciowej naturze ludzkiej (co jest czysto aryjskie, a w szczególności — polskie...)

b) Spinoza, jako do zasady, w moralności odwołuje się do pożyteczności osobistej, mianowicie — do zdolności w utrzymaniu swojego istnienia (co jest czysto żydowskie...). Natomiast Nietzsche odwołuje się do bohaterstwa, które każe ginąć jednostce dla osiągnięcia celów wyższych (co jest czysto aryjskie, a w szczególności — polskie...).

c) Najogólniej mówiąc, nauka moralna Spinozy jest rozumowym hedonizmem, podczas gdy nauka moralna Nietzschego jest uczuciowym heroizmem.

Jak widzimy, przeciwieństwa te dzieli przepaść nie do przebycia.

5. Przeciwnik mój przypomina moje krytyki teatralne z przedstawień „Strasznych dzieci" i „Miłosierdzia" H. Rostworowskiego z r. 1922 i przytacza z nich słowa moje o rozkładowych wpływach tych utworów. Poczem utrzymuje, że po 16 latach mogę „z bólem obserwować, że całe młode pokolenie narodowe idzie za Rostworowskim, nie za nim" (to znaczy — nie za mną). A wreszcie w sposób złośliwy i dowolny oprócz owego „bólu" przypisuje mi niskie pobudki w pisaniu krytyki o jego książce „Wczoraj i Jutro". Złośliwości owe i dowolności, jakkolwiek już w granice oszczerstwa wkraczają, składam na szalę należnej mi odpłaty osobistej. Tylko co do rzeczowej treści tego znamiennego wywodu powiem co następuje:

Po pierwsze: Z takiego przez p. Mosdorfa postawienia sprawy tej wynika, że „całe młode pokolenie narodowe" „idzie" za poszczególnemi pomylonemi i swoistemi idejami dwóch z gruntu chybionych utworów Rostworowskiego. Lecz oczywiście, nie to miał na myśli mój przeciwnik! Logika służy mu tu nie do odkrywania prawdy, ale do sztuczki karcianej, na tem polegającej, że mój krytyczny stosunek do cząstki prac i myśli Rostworowskiego p. Mosdorf podstępnie przeniósł nie tylko na mój mniemany stosunek do całokształtu prac i życia tego autora, ale nawet na mój mniemany stosunek do całego prądu idejowego, w którym płynął Rostworowski. Jest-to jawna, dwukrotnie dwukrotna dowolność — logiczna i moralna.

Po drugie: Ów mój „ból" domniemany, że nowe pokolenie p. Mosdorfa nie „idzie" za mną, jest pomysłem dobrym dla wodza tych czy innych koszul, który nie tylko Mussoliniego z pogardą przemilcza (*Dux duci lupus*), ale i w każdym obywatelu kandydata wodzowego podejrzewać gotów. Jest-to wiecowy *modus* stawiania sprawy. W rzeczywistości zaś (a muszę tego „*in re*" pilnować) byłoby mi bardzo przykro, gdyby za poglądami mojej filozofji i metafizyki „szło" jakiekolwiek pokolenie, jakikolwiek tłum wogóle, a nawet jeden człowiek poszczególny.

Po trzecie: O ile mi wiadomo, w życiu społeczno-politycznem Polski współczesne pokolenie narodowe (mówiąc stylem p. Mosdorfa) „idzie" za Dmowskim. Może więc za Rostworowskim maszeruje tylko oddział p. Mosdorfa? Ale Rostworowski był artystą, a nie działaczem społeczno-politycznym. Doprawdy, nie rozumiem tego! Jeżeli zaś (co jest możliwe) chodzi tu o katolicyzm, którym p. Mosdorf tak głośno pobrzękuje, to dlaczego nie oświadcza poprostu, że owo jego pokolenie „idzie" za Kościołem Katolickim? lecz właśnie i koniecznie za Rostworowskim? Czy to może jaka gierka partyjna? Lecz na tem się nie znam, więc niech to rozstrzygną znawcy kortów, boisk i bieżni bieżącego dnia politycznego...

Po czwarte: Będzie to może miejsce odpowiednie dla oświadczenia mego, że w roku 1926, gdy Dmowski założył O. W. P. i oparł go wyraźnie na związku z Kościołem Katolickim, ja jeden z pierwszych zgłosiłem idejowe swoje przystąpienie do Obozu, uznawałem bowiem i dziś uznaję, że Polska jest i ma być katolicka. Czy tkwi w tem jakowa sprzeczność ze stanowiskiem metafizycznem, które w poprzednim ciągu („Pro Deo") przedstawiłem?... Nie w jednem miejscu Wisła płynie na wschód, albo na zachód, ale czy jest z nią w niezgodzie „żóraw wędrowny", gdy sam na północ dziób swój kieruje?

6. To, co mi przeciwnik mój przypomina, gdy opisuje pewne w Centralnem Tow. Rolniczem zebranie młodzieży wszechpolskiej, na którem wygłosiłem podobno referat z wycieczkami przeciw niektórym poglądom chrześcijańskim, to był mój błąd — bez wątpienia! Mówię „podobno", bo rzecz zatarła mi się w pamięci całkowicie, ale o prawdziwości tego zdarzenia nie mam powodu powątpiewać. Otóż — był to błąd, bowiem o wielu sprawach nie wolno mówić do gromady, i nie trzeba. To też, o ile pamiętam, było to jedyne moje w tym rodzaju wystąpienie.

Ale nie idzie za tem, żebym miał zabronić sobie głoszenia pismem swoich poglądów i walk filozoficznych i moralnych, chociażby one z poglądami ogółu w gruntownej pozostawały sprzeczności. Ta wolność jednostki w dziedzinie pracy poznawczej jest wielką wartością kultury nowożytnej, a nie grozi porządkowi społecznemu ani narodowi, bo praca ta dokonywa się wysoko ponad głowami, ponad wiedzą i zdolnością umysłową ogółu ludzkiego. Z tego otóż stanowiska, w zalewie demokratyzmu współczesnego wszelkich zawołań, podejrzane mi się wydają coraz liczniejsze w życiu polskiem objawy, zalatujące dymkiem tęsknot do trybunałów świętej Inkwizycji...

7. Pan Mosdorf utrzymuje, że w książce swojej chciał „wyśledzić w biegu dziejów podziemny nurt tych sił, które grożą zniszczeniem cywilizacji chrześcijańskiej", chciał „dotrzeć do ich źródeł". Zamiast jednak poszukiwać ich tam, skąd one działały i działają, t. j. w żydostwie i w duchu żydowskim, wżerającym się w ducha narodów aryjskich, udał się na poszukiwania do zewnętrznych zjawisk życia gospodarczego i utrzymuje, że znalazł te źródła i ów nurt w reakcji proletarjatu na wyzysk kapitalizmu nowożytnego.

Jest-to typowa postawa materjalizmu dziejowego: wskazywanie na ślepy miecz, zamiast na rękę i wolę widzącą. Wprawdzie p. Mosdorf dotarł i do Marxa, ale potraktował go nie jako objaw ducha obcego i nie w związku ze swoistą ideologją żydostwa, ale jako objaw życia ludów

europejskich i w związku z ich historją, co jest jawnem zboczeniem i odwróceniem się od owych nurtów i źródeł poszukiwanych.

Materjalizm, ateizm, komunizm, nieustająca („permanentna") rewolucja i t. p. właściwości nie są bynajmniej ani logiczną, ani społeczną, ani gospodarczą koniecznością w reakcji proletarjatu na wyzysk kapitalizmu. Istnieją dane, że bez żydostwa reakcja ta dawno już weszłaby na tory, na które ją wprowadził faszyzm we Włoszech, i że osiągnęłaby tą drogą swoje sprawiedliwe zwycięstwo. Ale właśnie cała, tej reakcji narzucona ideologja żydowska umyślnie prowadzi proletarjat nie do zwycięstwa, ale do stałej nędzy i niewoli. W powstaniu proletarjatu i w jego wyzysku ze strony kapitalizmu żydostwo odkryło doskonałą dla siebie sposobność do opanowania świata, co jak wiadomo, jest odwieczną i religijną zapowiedzią „ludu osobliwego". A to opanowanie może dokonać się tylko przez zniszczenie cywilizacji europejskiej za pomocą owej ideologji, której ślepą armją fizyczną jest wyzyskiwany proletarjat aryjski, nadomiar anarchją krajów stale podburzany, anarchją, którą również umyślnie wznieca i podtrzymuje żydostwo.

Otóż tego wszystkiego nie dostrzegł autor książki „Wczoraj i Jutro", a kiedy mu to w krytyce swojej wytknąłem, zaś tytułem przykładu wskazałem na konieczność stworzenia takiej syntezy dziejów europejskich, w której byłby wyodrębniony obcy najazd żydowski i jego w Europie roboty, p. Mosdorf w odpowiedzi całe to zagadnienie pominął milczeniem, raz jeszcze powtórzył pogląd o „potężnym intelekcie" swojego „olbrzyma" Marxa, a brak argumentów i rozumowań własnych pokrył atakiem na moje pogaństwo. I w tym otóż ataku wiele kart swoich nieopatrznie odkrył, których charakter nie tylko umacnia uprzednie zarzuty moje, ale jeszcze je rozszerza. Poszczególne karty owe rozpatruję w punktach poszczególnych, tu zaś skupiły się one w pewnego rodzaju syntezę, która wyraża się w tem, że, stanowisko p. Mosdorfa czyni wrażenie świadomego ukrywania samej istoty sprawy żydowskiej.

8. Ukrywanie to musi łączyć się z potępianiem wszelkiego „bijologizmu rasistycznego", który godzi w sam rdzeń żydostwa światowego. Pan Mosdorf potępia go, ale nie ma przeciwko niemu ani jednego argumentu. Wobec tego radzi sobie z nim w sposób tak znamienny, że muszę go tu ukazać w oryginale. Pomijam tylko wstępne i końcowe kamienie, któremi mój przeciwnik przepędza mnie do hitlerowców, bowiem, jak wiele innych, przyjmuję i te, jako należną mi odpłatę osobistą. P. Mosdorf przypomina mój szkic do syntezy historycznej i tak o mnie mówi:

„Autor wymaga od historycznej syntezy, „aby przedewszystkiem naszkicowała charakter wielkich szczepów rasy białej, z których na tle odmian (typów) antropologicznych powstały narody europejskie, następnie zaś — podała zarys narodzin i typowego w każdym narodzie charakteru duchowego". Ducha narodu (Geist) rozumie, oczywiście, autor w sposób bijologiczny; w ideach zaś widzi produkt tego ducha, podobnie jak hormon jest produktem przysadki mózgowej lub trzustki. I podobnie, jak nonsensem byłoby pytać o prawdziwość insuliny, nie można z sensem mówić o prawdziwości chrystjanizmu, katolicyzmu, lub protestantyzmu. Trzeba tylko wiedzieć, jaki „duch" je z siebie wydzielił. Treść chrześcijaństwa wyczerpuje się w stwierdzeniu, że jest to produkt ducha żydowskiego, katolicyzm jest „tworem ducha romańskiego, opartym na własnej, aryjskiej starożytności europejskiej", pretestantyzm zaś „tworem ducha germańskiego".

(Tu następują kamienie końcowe, które pomijam).

Można całkiem objektywnie stwierdzić, że w tem miejscu polemiki „depresja" mojego przeciwnika opada do poziomu... morza Martwego. Przedewszystkiem, jest-to chyba dla każdego rzeczą widoczną, że w wymaganej przez syntezę historyczną charakterystyce prądów idejowych nie chodzi i nie może chodzić o ich „prawdziwość", bo to należy do całkiem innych dyscyplin naukowych, a historja ma obowiązek opisywać i objaśniać **wszystkie** zjawiska duchowe, w biegu dziejów czynne, bez względu na ich „prawdziwość" lub „nieprawdziwość" dogmatyczną. Następnie: ducha narodu p. Mosdorf opatruje w nawiasie przekładem niemieckim — (Geist). To już zaczyna być humorystyczne! Dalej mówi, że, „oczywiście" ducha narodu rozumiem „w sposób bijologiczny". To wszystkowiedne „oczywiście" ma tu zastosowanie tak samo trafne, jak w sprawie (oczywistego dla p. Mosdorfa) mojego pogaństwa, nietzscheańswa albo spinozjaństwa. A wreszcie p. Mosdorf podsuwa, jakobym wyraził pogląd, że treść danego prądu idejowego „**wyczerpuje się**" w twierdzeniu, że jest on „produktem" tego lub innego szczepu lub narodu. Moi czytelnicy dobrze wiedzą, że niczego podobnego nigdy nie mówiłem i że nic podobnego ze słów moich wynikać nie może. Każdy prostaczek wie, że dla „wyczerpania" treści danej idei trzeba ją dokładnie przedstawić i określić, ale żeby zrozumieć jej powstanie i wytłumaczyć sobie jej właściwości, trzeba sięgnąć do jej rodowodu, t. j. do ducha narodu, który ją stworzył, czem zajmuje się historja, a nam tu właśnie tylko o historję chodzi.

Słowem, w sumie: nastąpiło tu bezwiedne lub świadome ze strony mego przeciwnika sfałszowanie mojego poglądu.

9. Dla jeszcze jaśniejszego ukazania moralnych zasad polemicznych mojego przeciwnika omówmy wreszcie, na zakończenie, następujący jego chwyt dyskusyjny. Pan Mosdorf mówi:

„Zauważę nawiasem, że zarzut ulegania materjalizmowi i wpływom żydowskim, skierowany pod moim adresem, rzucałby — gdyby był prawdziwy — ponure światło na środowisko, które mnie politycznie wychowało. Podczas gdy p. Pieńkowski sam pisze o sobie: „...przebywałem lat 10 wśród inteligencji żydowskiej, dyskutowałem, flirtowałem, ulegałem hypnozie wielu teoryj, które tam obieg miały" — ja nigdy nie miałem najmniejszego kontaktu ani politycznego ani towarzyskiego z żydostwem i ze środowiskiem międzynarodowem. Kształciłem się na „Gazecie Warszawskiej", „Myśli Narodowej" i na artykułach p. Pieńkowskiego".

Otóż p. Mosdorf przytoczył tylko pierwszą część mojego okresu, a opuścił drugą, która zaczyna się od spójnika „ale" i zawiera w sobie cały sens tego okresu. Przez tak naiwny zabieg amputacyjny p. Mosdorf okresowi temu domyślnie podsunął sens wręcz przeciwny. Proszę rozsądzić: bezpośrednio po zdaniu, że „ulegałem hypnozie wielu teoryj, które tam obieg miały" idą u mnie słowa następujące:

„Ale instynkt mój czuwał i wciąż demaskował żydów — tak, że wreszcie nazywałem sobie swojem „laboratorjum psychologicznem" całe to kółko znajomych i t. d.".

Nie może być wątpliwości co do tego, że p. Mosdorf świadomie i celowo myśl moją sfałszował, a w takim razie muszę wyrazić żal, że, czyniąc mi zaszczyt „kształcenia się na moich arty-

kułach", nie nauczył się z nich rzeczy w nich najlepszej — uczciwości w myśleniu i w sporze.

Co zaś do wpływów żydowskich, to one spadają skąd i kiedy im się zdarzy, ale kiełkują tylko w tych, którzy mają w sobie dla nich grunt odpowiedni.

* * *

Należałoby omówić tu jeszcze wnioski i nauki, jakie dla życia publicznego z polemiki tej wyprowadzić można, nie uczynię tego jednak, odkładając sprawę do innej sposobności o temacie osobnym i samowystarczalnym. Teraz pragnę tylko jaknajprędzej i jaknajdalej odsunąć się od tej polemiki. Stwierdzam jedynie, że w stosunku do rzeczy głównej t. j. do książki „Wczoraj i Jutro" spór niniejszy nie pozostał jałowy, albowiem autor jej, pod egidą katolicyzmu i w imieniu nowego pokolenia polskiego stale występujący, oświetlił w tym sporze sam siebie w sposób wystarczająco dosadny.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

P. S. Proszę o poprawienie błędu: w ciągu poprzednim „Pro Deo" w N 27 „M. N." na stronicy 422 w łamie drugim, w dwunastym wierszu od góry zamiast słowa „wierzę" powinno być „widzę".

St. P.

POCZĄTKI LITERACKIE SŁOWEŃCÓW

ODLEGŁOŚĆ granic i znaczna odrębność językowa między Polakami i Słoweńcami — sprawiła, że nie doszło do intensywniejszej współpracy polsko - słoweńskiej na niwie kulturalnej. Z tych względów bardzo mało w Polsce wiemy o Słoweńcach, narodzie bardzo dzielnym i kulturalnym, chociaż maluczkim, narodzie wyjątkowo odpornym na zakusy germanizacyjne i bardzo krzepkim w swej samowiedzy narodowej. Dziś Słowenja jest krajem wolnym. Przywrócona do życia narodowego w epoce t. zw. illiryzmu za przykładem swych pobratymców: Chorwatów i Serbów z Południa, a Czechów z zachodu rozwinęła się kulturalnie i gospodarczo, a po wojnie światowej weszła dobrowolnie w skład Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców. Słoweńców jest zaledwie półtora miliona, lecz dzięki wyjątkowo wysokiemu poziomowi swej kultury i cywilizacji odgrywają oni znaczną rolę w Jugosławii.

Oddziaływanie naszej literatury na życie duchowe Słoweńców datuje się dopiero od końca XIX wieku, a przede wszystkiem jest to zasługa Sienkiewicza. Coprawda znacznie wcześniej współtworzyliśmy kulturę słoweńską czynnie, bowiem emigrant polski z 1831 r., Emil Korytko, osiadłszy w Słowenii, badał i zbierał tamtejsze pieśni ludowe, zapoczątkowując badania ludoznawcze i torując drogę Kopitarowi, Murce, Sztrekeljowi, Ileszićowi i innym. Czem Herder był w Niemczech, tem Korytko wśród Słoweńców. O nim to ogłosił cenną monografię dr Fr. Kidricz w *Ljubljanskim Zvonie* (1910). Nie można pominąć wpływu polskiego romantyzmu na poezję słoweńską. Największy artysta w poezji słoweńskiej Preszeren, uczył się języka polskiego na poezjach Mickiewicza. Tak samo jego poprzednik Walery Vodnik z XVIII wieku zajmował się poezją polską. Wiele wpływów polskich spotykamy i u Stanka Vraza, który raczej do literatury chorwackiej należy; zaś z późniejszych należy wymienić Josipa Stritara. Antoniego Aszkerca, który opisuje tułaczkę Bolesława Śmiałego, walkę Polan z germańtswem i epizody z wojen napoleońskich, Antoniego Żekelję, który pod przybranym imieniem Rodoljuba Ledinskego w poemacie p. t. *Vilkovo* snuje opowieść o polskim magnacie Marcinie Sapieże. Tak moglibyśmy wymienić jeszcze kilka tuzinów nazwisk. Z pośród żyjących największymi przyjaciółmi Polski są profesorowie Franciszek Ileszić i Vojeslaw Mole, a z młodszych ceniony dramaturg Bratko Kreft.

Jakkolwiek mamy z przed wojny szereg broszur o Słoweńcach (T. S. Grabowskiego, T. Dalewskiego, A. L. Szymańskiego), wiele też pisano w „Świecie Słowiańskim", a stosunki polsko-słoweńskie głównie podtrzymywały koła katolickie w Krakowie — po wojnie światowej w porównaniu z tym co napisano dawniej o Słoweńcach (podaje bibljografja Kołodziejczyka) — prawie że nic się nie pisze.

A jednakże Słowenja, kraj dziś w większości katolicki, zasługuje na szczególną uwagę już jako ten z ośrodków słowiańskich w wieku XVI — który całkowicie w okresie reformacyjnym był luterskim.

Okres wojen religijnych i buntów chłopskich w XVI stuleciu — podobnie, jak i w innych krajach — zaznaczył się i twórczym czynem, bowiem dał Słoweńcom pierwszą drukowaną książkę w języku ojczystym. Reformacja zapoczątkowała słoweńską literaturę i sprawiła, że Słoweńcy czynem upomnieli się o przyrodzone prawo tworzenia własnego piśmiennictwa i posługiwania się językiem ojczystym. W ruchu luterskim największą rolę odegrał wielki pisarz Primož Trubar, który stał się słoweńskim Mikołajem Rejem. Nie było to odosobnione wejście na arenę pisarską, ale wkroczenie do literatury całego zastępu utalentowanych i twórczych pisarzy reformowanych.

Wprawdzie samoistna literatura narodowa rodzi się dopiero w 1843 r., kiedy Janes Bleiweis ze swych „*Novic*" stworzył ośrodek pisarzy narodowych, ale nie powstałaby ona w takim później bogactwie, gdyby nie miała fundamentów Trubarowych. Dzisiejsza Słowenja jest bardzo dumna ze swej świetnej przeszłości protestanckiej, a Primożowi Trubarowi nietylko w katolickiej Ljubljanie wystawiono wspaniały pomnik, ale czytania wyboru, opracowanego świetnie przez młodego slawistę dra Mirka Rupla, wprowadzono nawet do szkół.

Dzieło poczęte przed czterystu laty przez idealistę księdza katolickiego a później księdza ewangelickiego Primoża Trubara wskrzeszone przez bibljologów, bibljografów i historyków pozwala dziś rozumieć całą epokowość wystąpienia Trubara w 1551 r. znaczenie wydania w tłumaczeniu słoweńskim katechizmu Lutra. Zważyć należy, że chociaż pochód reformacyjny postępował wtenczas zwycięsko naprzód w krajach południowo-niemieckich i przyalpejskich, to jednak wielką

odwagą było i w owych czasach pisanie po słoweńsku, ponieważ szlachta i mieszczaństwo tylko czytała po niemiecku i po łacinie, zaś chłop, jedyny kandydat na chętnego czytelnika, trwał jeszcze w ciemnocie. Pionierzy słoweńskiego piśmiennictwa narodowego mieli do zwalczenia nadto fałszywy przesąd o nieliterackości języka słoweńskiego. Początkowo nie byli oni w ścisłym tego słowa znaczeniu protestantami, ale, znajdując się w rozdźwięku z tradycyjnym kościołem działali pod wpływem reformacji niemieckiej, której pierwszymi szerzycielami byli wychowankowie niemieckich uczelni, światlejsi kupcy i żołnierze...

Twórca druków słoweńskich Primož Trubar pojawił się w Ljubljanie po raz pierwszy w 1535 r. jako skromny wikarjusz w Laszku, gdzie działa w myśl wskazań swego na poły protestanckiego biskupa Bonoma. W sercu Słowenji znalazł on chętnych dla słuchania nowych zasad Lutra. Po pięciu latach musiał jednak z rozkazu burmistrza Juriszića opuścić Ljubljanę, ale po dwóch latach ponownie wraca do stolicy słoweńskiej jako kanonik. Wtenczas wraz z towarzyszami opuszcza na zawsze kościół katolicki i wskutek prześladowań biskupa Urbana Tekstora chroni się do Niemiec, gdzie rozpoczyna drukowanie książek słoweńskich, a w 1555 roku zakłada „kościół języka słoweńskiego". Po zorganizowaniu w Niemczech pierwszej drukarni słoweńsko-chorwackiej — w czerwcu 1561 r. powraca do Ljubljany i ustanawia w głównych ośrodkach kraju szereg stacyj misyjnych. Pomocnikiem Trubara był Krejl, po którego śmierci superintendentem zostaje Niemiec, Krzysztof Spindler, za którego sprawą autor słoweński Dalmatin wydaje pierwszą Biblję słoweńską. Słoweńcy akcję druku popierają składkami, zbieranymi w całym kraju. Lecz następuje tragiczne załamanie pochodu reformacji. W latach ośmdziesiątych XVI w., kiedy protestanckie dzieło na niwie piśmienniczej dosięga szczytu swego rozwoju — kontrreformacja rozpoczyna niszczenie tego dorobku. Na wyspie Bled w 1587 r. dochodzi do wypędzenia misjonarzy protestanckich, do otwartego buntu miejscowego mieszczaństwa i kmieci przeciwko brikseńskiemu biskupowi. Po śmierci Karola w 1590 r. następuje upadek słoweńskiego protestantyzmu. Nie zdołał już utrzymać zborów ani superintendent Jernej Simplicius (1592 — 1594), ani też jego następca Felicjan Trubar.

Od r. 1596, kiedy rządy obejmuje cesarz Ferdynand, wierny sprzymierzeniec jezuitów, następuje prześladowanie protestanckich zborów, a zwłaszcza po r. 1598, kiedy cesarz Ferdynand powrócił z Rzymu z nowymi instrukcjami jaknajostrzejszego wytępienia zwolenników Marcina Lutra. Ruch luterski, który początkowo zaczął się rozwijać w środowisku mieszczańskim, a następnie wśród kmieci, został w pełni zahamowany. Dekrety Ferdynanda z 29 października 1598 r. znaczą ostateczny kres kościoła luterskiego wśród Słoweńców, zniszczonego ogniem i żelazem przy stosowaniu najdzikszych okrucieństw. W całym kraju rozpoczęto energicznie rekatolizację... i palenie pierwszych książek słoweńskich. W samej Ljubljanie spalono tych książek 11 ładownych wozów. Pół wieku nie wytrwało świeżo narodzone piśmiennictwo słoweńskie, a zniszczył je rzymski katolicyzm i państwowy absolutyzm.

W tych warunkach, gdzie się ostał jakiś druk epoki trubarowskiej — czczono go jak świętość. Krążyły te księgi w licznych odpisach, a po dekrecie tolerancyjnym cesarza Józefa II pojawiły się w wolnym obiegu. Protestantyzm uratował się jedynie w górzystych i mało dostępnych okolicach Prekmuria.

Czołowym pisarzem tej epoki jest wielki dla zalet serca i umysłu, Primož Trubar. Urodził się on w 1508 r. w Raszczycach, w młynie opodal wsi. Ojciec Trubara był młynarzem i pragnął syna swego wyszkolić w rzemiośle rzeźnickim. Dzięki jednak wstawiennictwu miejscowego proboszcza posłano chłopca do szkoły w Rjece, gdzie poznał głagolicę. Stamtąd Trubar powędrował do szkoły pod wezwaniem św. Piotra w Salzburgu, a po dwóch latach przeniósł się do Triestu, gdzie doznał życzliwej opieki biskupa Bonoma. Swiatły ten pasterz wraz z klerykami czytywał Wergiljusza, Erazma z Rotterdamu, a dysputy nie tylko odbywał po łacinie i po niemiecku, ale i po słoweńsku. To środowisko wywarło największy wpływ na późniejszego twórcę piśmiennictwa słoweńskiego.

LUMIR

(Dok. n.)

KRÓL NOWOŻYTNYCH SATYRYKÓW

SĄ ZAGADNIENIA sporne, które wiecznie wypływają i nigdy nie mogą doczekać się zgodnego rozwiązania. U Anglików weszły z tego powodu w przysłowie takie pytania, jak: czy Maria Stuart przyczyniła się do zamordowania swego drugiego męża? Kto napisał „Listy Juniusza"? Czy Pope był poetą?

To ostatnie pytanie narzuciło się raz jeszcze powszechnej uwadze, ponieważ w maju r. b. upłynęło półtrzecia wieku od przyjścia na świat autora „Dunnsjady". Nie mam zamiaru kusić się o odpowiedź, wolę powiedzieć coś o jego życiu i dziełach, a sąd zostawić czytelnikowi.

Aleksander Pope urodził się w roku rewolucji, która rozstrzygnęła długoletnią walkę między koroną a parlamentem. Lecz rozstrzygnęła ona i coś innego. Była ostatecznem zwycięstwem protestantyzmu nad katolicyzmem. Ten fakt odbił się na życiu i charakterze Pope'a, który pochodził z rodziny katolickiej, choć w późniejszym wieku skłaniał się ku deizmowi, nigdy nie wyrzekł się wiary ojców, a w oczach większości społeczeństwa napiętnowany był już samym nazwiskiem, oznaczającem papieża. Zamknięte przed nim były lepsze szkoły, ale i w tych skromnych zakładach, jakie utrzymywali jego współwyznawcy, nie zagrzał miejsca. Od dwunastego roku życia przebywał w domu, przez jakiś czas uczył go jakiś ksiądz, potem jedynie sam czytał ustawicznie, ślęcząc po nocach i zaniedbując wszelkie ćwiczenia fizyczne. Zrujnował sobie przez to zdrowie i został na całe życie kaleką. Doszło do tego, że chodził w rodzaju sznurówki i w trzech parach

pończoch (dla ukrycia cienkości nóg), a pod koszulą nosił futrzany kaftan, bo było mu zimno nawet w lecie. W wieku późniejszym nie mógł się sam ubrać, ani rozebrać.

Ktoś powiedział o Popie: *Mens curva in corpore curvo*. Bo też i poczucie przynależności do prześladowanej religii i niedomagania cielesne wypaczyły także charakter. Pope był chorobliwie ambitny i drażliwy, a nawet podstępny i nieuczciwy — nie tam, gdzie szło o dobra materialne, lecz tam, gdzie w grze była sława poetycka. Miał zamiłowanie do intryg i do autoreklamy, fałszował własną korespondencję i używał brzydkich sztuczek wydawniczych.

Od dzieciństwa bowiem postanowił sobie zostać poetą. Zawsze starał się wytworzyć mniemanie, iż był cudownem dzieckiem, ale i po odrzuceniu jego zmyśleń trzeba przyznać, że rozwinął się bardzo wcześnie i zaczął pisać przed dziesiątym rokiem życia. W każdej z dwóch szkół, w jakich przebywał, zaszło coś charakterystycznego dla jego przyszłej twórczości. Z pierwszej trzeba go było zabrać za wiersz, w którym ośmieszał nauczyciela. W drugiej urządził przedstawienie z „Iljady" — w cudzem tłumaczeniu, ale z własnemi dodatkami. Głównemi tytułami Pope'a do sławy miały stać się satyry i przekład Homera.

Były to bowiem czasy pseudoklasycyzmu. Pewne młodzieńcze utwory Pope'a dowodzą, że nie był on pozbawiony uczucia i umiał dawać mu piękny wyraz. A przecie świadomie wybrał kierunek inny. W jego poezji panują rozsądek, dowcip, retoryka i elegancja wysłowienia. Nawet w traktowaniu formy jest skrajny. Odrzuca prawie zupełnie sztuczne i ozdobne zwrotki czy miary metryczne, pisze t. zw. wierszem heroicznym (pięciosłupowym jambem, parzyście rymowanym), pozbawionym urozmaiceń, na jakie pozwalali sobie poprzednicy. Zamyka myśl z reguły w obrębie każdego wiersza. Ta metoda uniemożliwia rozpraszanie się na szczegóły. Pope jest zawsze ogólnikowy, ale też i genjalnie zwięzły.

Poza wspomnianemi wyjątkami pierwsze utwory jego należą do typowo pseudoklasycznych rodzajów. Są to sielanki, poematy opisowe, poematy dydaktyczne. Nim przejdziemy do rzeczy ważniejszych, zajmijmy się na razie sądem potomnych.

Gdy druga połowa w. XVIII przyniosła nowe prądy, zresztą niewątpliwie zgodniejsze z charakterem narodowym Brytyjczyków, zaczęto burzyć sławę Pope'a. Traktowano go coraz surowiej i wnet padło owo ubliżające pytanie. W epoce romantycznej jednym z najgorętszych obrońców Pope'a był Byron, a w naszym stuleciu Chesterton, który wypowiedział znamienne słowa:

„Może jest łatwiej naprawdę mieć dowcip, niż naprawde, w najlepszem i najtrwalszem znaczeniu wyrazu, mieć wyobraźnię. Atoli jest nieskończenie łatwiej udawać, że ma się wyobraźnię, niż udawać, że ma się dowcip".

Zaleta, którą Chesterton podkreśla u Pope'a obok dowcipu, jest właśnie zwięzłość. Na dowód przytacza on jeden jego wiersz, nabrzmiały myślą, i dla eksperymentu robi z tego dziewięć wierszy modernistycznych. Klasycy zgęszczali myśli, my je rozcieńczamy i rozwadniamy...

Równie istotną cechą stylu Pope'a jest omówienie. Często poprostu strzeże on się, aby rzeczy nie nazywać właściwem imieniem. Polakowi przypomina się Trembecki i młodociana „Zima miejska" Mickiewicza „wytoczonemi słoniami" (kulami bilardowemi) i „stambulskiemi goryczami" (tytoniem). Ale peryfrazy Pope'a bywają zadziwiająco trafne i piękne. Chemik zdobywa z kwiatów ich aromatyczną duszę, potężna kopuła najeżdża niebo, tańczące promyki słońca igrają na wodzie i t. p. A jakie dowcipy umie Pope wykrzesywać z wyrażeń obrazowych, które rozwija w tym celu w całe epickie ustępy, będące nieraz parodjami z klasyków! Warto przeczytać opis walki w „Porwaniu pukla", tej najwdzięczniejszej z żartobliwych epopei. Złoci młodzieńcy umierają tu, przeszyci strzałami pięknych oczu — tak, jak po tysiąc razy umierali w swych miłosnych zaklęciach czy w wierszach. Jeden z nich wyzionął ducha, zabójczyni uśmiechnęła się tryumfalnie, lecz on odżył natychmiast na widok uśmiechu. Gdy przychodzi do starcia między złodziejem pukla a okradzioną Belindą, Jowisz kładzie na jednej szali męski rozum, na drugiej kobiece włosy, Długo waha się języczek wagi, wreszcie włosy opadają na dół, los barona jest przesądzony. Ale nie lęka się on śmierci. Z tego powodu wolałby żyć dalej i płonąć w ogniu Kupidyna, byle płonąć żywcem. Bogowie przemieniają ostatecznie skradziony pukiel w kometę, jak u Owidiusza stało się z Cezarem. Będą na nią patrzyły wytworne damy i panowie z Pall Mall, a Partridge (autor groszowych kalendarzy z przepowiedniami) wywróży z niej los Ludwika XIV (dobiegała właśnie kresu hiszpańska wojna sukcesyjna) i upadek Rzymu. Jakie zaś w tym poemacie opisy damskiej toalety, modnych przyjęć, gry w lombra!

Kilkanaście lat zajął Pope'owi przekład Homera — zresztą połowę „Odyssei" przetłumaczyli dwaj współpracownicy, którzy tak przejęli się stylem mistrza, że można tego nie spostrzec. Przedsięwzięcie powiodło się świetnie pod względem finansowym, dając poecie niezależność aż do śmierci (1744). Co do samego przekładu, to nie daje on właściwie pojęcia o oryginale, jest zbyt gładki, elegancki, retoryczny i ogólnikowy, a greckie imiona własne zastępuje łacińskiemi. Lecz każda epoka wydaje Homera w swoim stylu. Przecie za naszych czasów sławny pułkownik Lawrence przełożył „Odysseję" prozą, używając czasem wyrażeń slangowych i amerykanizmów... Zresztą Pope trzymał się teorji tłumaczenia swego wielkiego poprzednika Drydena, który polecał trzymać się tylko toku myśli oryginału i wyrażać je tak, jakby pisało się poemat we własnym języku. Homer Pope'a nie jest pozbawiony swoistego uroku i pozostaje wciąż klasycznym przekładem angielskim— jak u nas „Odysseja" Siemieńskiego.

Z wiekiem werwa Pope'a nabierała goryczy, w sercu jego rodziła się zawziętość przeciw światowi literackiemu za różne rzeczywiste i urojone krzywdy. Bodaj, że tych drugich było więcej. Miał on na pieńku i z tymi, co niedość gorąco go chwalili albo chwalili innych. Z takich nastrojów powstała „Dunsjada" (od d u n c e = tuman). Pełno tu osobistych porachunków, często niesprawiedliwych, autor nie oszczędza nawet kobiet, ale zjadliwość jego ma pewne cechy wielkości, a pieśń ostatnia rozszerza pole obstrzału na kwestje ogólne, zwłaszcza kulturalne. Chłosta spotyka system wychowania, operujący głównie — chłostą, szyderstwo spada na pedantów i molów książkowych, a dla równowagi na „kształcące" podróże młodzieży szlacheckiej za granicą, jest i atak na przyrod-

ników, gubiących się w analizie drobnych szczegółów, a ślepych na istnienie Twórcy wszechrzeczy. „Dunsjada” kończy się olbrzymim obrazem Anglji zasypiającej pod wpływem jakiegoś czarodziejskiego napoju. Warto zaznaczyć, że jest tu scena, w której bogini głupoty rozdaje godności, a są między nimi także stopnie masońskie.

Mniejsze znaczenie ma filozoficzny „Szkic o człowieku”, choć jego deistyczne tendencje wywołały głośną polemikę. Natomiast szczytem twórczości Pope'a są jego późniejsze satyry, wydawane pod różnymi tytułami („Szkiców moralnych”, „Listu do Arbuthnota”, „1738”). Dopiero teraz zdał sobie Pope sprawę ze społecznego zadania satyryka. Smaga chciwość, głupotę, złe użycie bogactw, próżność kobiecą, brak dobrego smaku, intrygi polityczne, służalczość, pochlebstwo, wieńczenie oficjalnemi laurami miernot. Zdobywa się na odwagę cywilną i atakuje operujący przekupstwem rząd Walpole'a, króla-cudzoziemca, obcego kulturze angielskiej, nie dbającego o nią przyczem ktoś mu ostrzegawczo przerywa wzmianką o oślich uszach Midasa i Addisona, który był rodzajem dyktatora literackiego. Zwięzłe, ostre wyrażenia palą, jak rożarzone żelazo, ton jest namiętny, liczne przykłady czynią satyrę osobistą. Lecz Pope rozumie teraz, że satyryk musi czytelnikowi pokazać ideał, w którego imię potępia. Wplata więc ustępy na cześć niektórych współczesnych, przedewszystkiem jednak niestety przeciwstawia zepsutemu i głupiemu światu — siebie samego. Wiemy, że nie miał do tego prawa, ale może wierzył w swą doskonałość etyczną. Wartości artystycznej ta własna chwalba nie obniża, przyjemniej jednak byłoby je czytać, nic nie wiedząc o charakterze poety.

Zresztą zdaje się, iż nikt nie czyta ich za naszych czasów. A przecie Pope żyje. Cały szereg jego wyrażeń zszedł do skarbca cytatów. Używa się ich, często bez świadomości, od kogo pochodzą. Oto kilka próbek: „Łamać kołem motyla”; „potępiać słabą pochwałą”; „udzielać zasiłku na pogrzeb tego, kogo się zamorzyło głodem”; „nie znosić, jak Turek, brata obok tronu”; „zapominać o świecie, będąc przez świat zapomnianym”; „dowcip i sztuka sprzysięgają się”; „odważne dziecię, nigdy nie stworzone bogiem”.

Żyje też Pope jako silna indywidualność z przeszłości. Jego wady nie powinny przysłaniać zalet — rozsądku, zdrowych poglądów na życie, oburzenia na widok podłości i głupoty, poczucia posłannictwa satyryka. Autor „Szkiców moralnych” w swym dojrzałym okresie uznawał za swą misję smaganie występku i śmieszności. Twierdził, że łatwo smagać je nieosobiście, ale to tylko „walka z cieniami”. Robił sobie więc wrogów na prawo i na lewo. Zdaje się, że bał się trochę brutalnych napaści i prześladowania, ale to go nie powstrzymywało. Chlasnął czasem biczem niewinnego, ale od czasu, kiedy wyszedł poza krąg ambicyj i intryg literackich, zdarzało mu się to dość rzadko. Epoka miała dużo ciemnych stron i on je dobrze widział. Nie przysłaniały mu oczu zewnętrzne splendory, bogactwa, tytuły, godności czy sztucznie rozdęta sława.

Że miał wyczucie rzeczy istotnych, niech posłuży następujący przykład. Przychodzi mi na myśl jedna tylko jego wzmianka o Polsce. Dotyczy wolnej elekcji. Pope intuicją wyczuł najsłabszy punkt naszego życia państwowego.

Niestety — raz jeszcze zacytuję Chestertona — „satyra polityczna i społeczna to sztuka, należąca do przeszłości, jak ceramika i witraże”. Szkoda, ogromna szkoda. Czy Pope był, czy nie był poetą, przydałby się bardzo w naszych czasach.

Lwów WŁADYSŁAW TARNAWSKI

DWANAŚCIE ANTYMASOŃSKICH PRZYKAZAŃ

DLA KATOLIKÓW

1) Bądź swemu bliźniemu nie szpiegiem, ale bratem. Śledząc wszystkich, przeoczysz najłatwiej tego, który istotnie na twoją baczność zasługuje.

2) Nie bądź Żydem z ducha, skoro zostałeś chrześcijaninem, i nie rządź się podwójną etyką. Bądź lojalnym nietylko wobec tych, których uznałeś w sercu za Lud Wybrany.

3) Pamiętaj, że w całej Ewangelji nie znajdziesz jednego przykładu, aby Chrystus gwoli poprawienia ludzi z wad czynił im zło; nie wyrządzaj zatem zła w tym celu, aby kogoś uszlachetnić lub poznać.

4) Naucz się dobrze „Dziewięciu grzechów cudzych”, abyś nie sądził, że wolno ci zło, które spotkasz, tolerować. Nie chciej być doskonalszym niż Chrystus, który biczem wypędzał łotrów ze świątyni.

5) Pamiętaj, że jesteś faryzeuszem, jeśli kładziesz w czasie Ewangelji na ustach znak krzyża, a słowa twoje kłamią twoim uczuciom i myślom, ludziom i Bogu. Społeczeństwu wyrządza tę samą krzywdę kłamstwo człowieka uczciwego, co kłamstwo łotra.

6) Nie składaj dziesięciny z mięty, anyżu i kminu, opuszczając, co jest najważniejszego w Zakonie. Nie sądź, że czynisz nakazom religji zadość, spełniając praktyki religijne, a pozostając w organizacji, która prędzej czy później każe ci spłacać świadomie trybut na rzecz zła.

7) Nie popełniaj przez głupotę zbrodni, wykonując polecenia masonerji, które wydają ci się niewinnemi. Pamiętaj, że nie posiadłeś wszystkich rozumów i nie jesteś mądrzejszym niż Kościół, który za należenie do Masonerji rzuca klątwę.

8) Nie bądź tchórzem, który przez brak odwagi zawiera pakt ze złem. Nie zapominaj w chwili największego zwątpienia, że większy jest Pan Bóg niż pan Rymsza.

9) Nie myśl, że niebezpieczeństwo masońskie znajduje się w obozie twego politycznego przeciwnika: tkwi ono w każdej masońskiej komórce, choćby w twojem przekonaniu najlepszej, w każdem jej sprzecznem z nakazami Kościoła i miłości bliźniego posunięciu.

10) Jeśli chcesz Masonerję zwalczać, nie kryj się pod konspiracyjną pierzynę, nie wystawiaj swego najlepszego przyjaciela na sztych, każąc mu występować przeciw Masonerji samotnie.

11) Pamiętaj, że w wyścigu fałszu i zła, jakim jest Masonerja, zwycięstwo przypadnie siłą konieczności najgorszym. Jeżeli chcesz zwyciężyć, a najgorszym nie jesteś, używaj tych tylko środków walki, które wkłada ci w rękę religja.

12) Miej serce lwa, pokorę franciszkanina, hart stali, wesołość pliszki i brak tajemnic w życiu.

NA WIDOWNI

Gody życia. — Jak je pojmuje przyroda. — Odwieczna sprawiedliwość. — Świat człowieka. — Jego wielkość i tragizm. — Miasto i wieś. — Natura oparciem człowieka. — Realizujmy gody życia.

NA PIĘKNYCH skałach Ojcowa widnieje tablica ku czci Adolfa Dygasińskiego — zupełnie naturalny objaw uznania dla tego, który w swej twórczości tyle wspaniałych miejsc ślicznej dolinie Prądnika poświęcił. A już odrazu na myśl przychodzą „Gody życia", to jego bez wątpienia dzieło najwspanialsze, no i refleksja, że jednak miejsce natchnęło pisarza i że treść tej książki nie jest przypadkiem, że ta dolina bezustannie mówi o godach życia.

Zasadniczo przyroda zawsze jest piękna i nawet najlichszy krzew na miejskiem podwórku zachwycić może chociaż cząsteczką tej utajonej mocy i urody; a cóż dopiero mówić, gdy jest wolna i w całej swej krasie. A zawsze i wszędzie uczy ona godów życia i o nich mówi. Hymn życia, jaki śpiewa przyroda, jest najlepszą nauką. Stąd moc ożywcza przyrody i wielka równowaga cechująca ludzi, którzy z nią żyją i z nią obcują.

Jeśli bowiem żyć z przyrodą i bacznie obserwować jej życie, to widać przedewszystkiem jedno — zasadniczą celowość każdego w niej — stania się. Jeśli się coś w przyrodzie stało, to już napewno dobrze się stało. Jest w naturze jakaś siła bezmierna niepozwalająca na wykolejenia, jakaś moc bezustannego poprawiania się. Jeśli przyjdzie nawet burza i drzewa połamie, to poprzez ich zwaliska zaraz puszczą się inne drugie. Każda śmierć będzie zaraz zastąpiona, a klęska żadna zasadniczego biegu życia nie zdoła wykoleić. Człowieka musi pociągnąć ten potężny optymizm i dać mu ową upajającą w naturze właściwość automatycznego odradzania się i wytrwałego zdążania do swoich celów.

Bo myliłby się ktoś myśląc, że prawdziwe gody życia polegają na beztroskiej uciesze. Nie darmo się mówi, że naturę cechuje walka. Gody życia o jakich mówi przyroda, to bezustanne pięcie się wzwyż i bezustanna walka o realizację własnego celu. Ale choć nie są one bestroskie to jednak są radosne, bo pesymizm jest obcy przyrodzie. Każda chwila ma swoją nieprzemijającą wartość i przynależność do wielkiego rytmu, a słowo — szkoda — tu właściwie nie istnieje, gdy wszystko jest właśnie realizacją celu. Jest też i mus zwycięstwa i przedewszystkiem plan Opatrzności, a i to także, że wszystko odbywa się poprostu właśnie — naturalnie —, jak sami mówimy.

Ale to jeszcze nie wystarcza i gdyby tylko to dojrzeć w godach życia natury zabrakłoby najważniejszego ich elementu — sprawiedliwości. Dlatego są one radosne, że to, co się w nich dzieje, jest słuszne. Jest tu rytm greckiej tragedii, gdzie wina i kara się łączą, bo jedno rodzi drugie. W tym sensie każda chwila jest w sobie słuszna i dlatego każda ma radość. A bezwzględna sprawiedliwość rodzi tę pewność, że pomyłki być nie może i że koniec zawsze musi być dobry. Tego uczy przyroda i jej „nieprzerwane nowonarodziny".

Świat człowieka jest jednak inny i Opatrzność poddała go innym prawom. Może on się uczyć od przyrody, ale musi iść swoimi innymi szlakami. Obdarzony został wolną wolą i wyrwany przez to z automatycznego kręgu natury. Może więc sam plątać swoje przeznaczenie i w tem też jego wielkość i tragizm.

Wielkość — bo w możności kształtowania samemu swoich losów kryje się pewna boskość. To jeszcze ta nieśmiertelna iskra wyniesiona z raju, ów ogień prometejski ukradziony z Olimpu. A tragizm, bo człowiek nie ma instynktu, a ma pierwiastek zła i nie zawsze właśnie to, co zrobi, może być nazwane koniecznem i słusznem. Jak często mogło być coś proste i jasne, a stało się ciemne i zagmatwane. Jak często nie umiano wytrwać przy szczęściu, goniąc za błędnemi ognikami...

W mieście wśród morza kamienic, wśród całej rażącej właśnie swoją nienaturalnością scenerii życia człowiek wykoleja się łatwo. Otaczająca go wokoło sztuczność uniemożliwia mu wprost pamiętanie o rzeczach istotnych i prawdziwych. Szybki wir życia utrudnia wejrzenie w siebie, a obfitość rzeczy gotowych, które się łatwo kupuje, poczynając od jedzenia i ubrania, a kończąc nawet na „własnych sądach", sugerowanych przez broszury i gazety, przeraźliwie wypłyca.

I właściwie wtedy człowiek strasznie traci i wprost nie potrafi być sobą. Przywilej kształtowania swoich losów staje się wtedy niczem miecz w rękach szalonego. W wielkomiejskich ulicach czai się brud i zepsucie, a jarzące światła podkreślają tylko przeraźliwą ciemność nocy. Wszystko idzie na opak — noc jest lepsza od dnia, deszcz ładniejszy od pogody. Gdy wiejska noc upoi ciszą, światłem księżyca i szmerem gałęzi — miejska lśniącym po deszczu w świetle neonów asfaltem i gwarem składającym jakąś dziwną symfonię.

Człowiek jest słaby i potrzebuje oparcia, to oparcie mu daje natura najwspanialej i najprościej mówiąc mu o Bogu. Jest to lekcja codzienna, tak pogodna, tak jasna i promienna jak to, co Chrystus mówił swoim uczniom wśród pól i łąk Galilei. W mieście religia jest książką i tę naukę Bożego życia, której bruk i wystawy sklepowe dać nie potrafią, daje ksiądz z ambony co niedziela; ale słucha się tego jako coś dobrego właśnie raz na tydzień, a nigdy więcej. Widzi się w tem egzotykę, bo otoczenie o słuszności tych słów nic nie mówi a trzeba już w duszy mieć coś, by lekcję samego życia i własnych błędów zrozumieć.

Bo cała mądrość w tem, by realizować gody życia. Złapać rytm przyrody, ale już własną swoją wolą, a nie w nieubłaganym automatyzmie jej praw. Życie człowieka to też „nieprzerwane nowonarodziny" — wiosna, lato, jesień, zima. Bóg podyktował mu ten sam rytm i wolą swoją zakreślił jego życiu pewien istotny, prawidłowy bieg. I teraz człowiek sam swoją własną i nieprzymuszoną wolą powinien ten bieg złapać pod grozą utraty szczęścia. Odgadnięcie woli Bożej, wyszukanie jej i poddanie się jej oto istotny sens szczęścia ludzkiego.

Jest więc cel, wielki i drzemiący w każdej duszy, nieukojoną tęsknotą. Cel dany i wrodzony niczem w naturze, cel ten sam od wiosny aż po martwą zimę — prosty więc wniosek: — i upór w jego realizowaniu winien być zatem ten sam i wiara w dobry ostateczny skutek ta sama. Na-

tura zawsze zwycięża — prawdziwy człowiek to samo.

Zwycięża przedewszystkiem siebie. On nie ma prostej drogi i nie jest mechanizmem nakręconym na jeden tor. On szuka i robi błędy, a te zawsze ciągną za sobą skutki i to wszystko potem trzeba odrabiać. Trzeba uparcie trzymać się swego celu, wyłamywać okolicznościom i wiedzieć, że przeciwności są szkołą. Musi być dobrze, bo musi być po Bożemu, więc tej ścieżki trzeba pilnować i nie zrażać się ani cierniem, ani własną słabością, ani zawiłą plątaniną dróg jakiemi Opatrzność Boża iść nam kazała.

I to są gody życia. Wtedy są dni piękne i to zawsze piękne. Wtedy też, jak w naturze, wszystko jest w sobie celowe, chociażby wielką celowością pokuty. I wtedy również jest ostateczne zwycięstwo, którego cudowny smak czuje się przez całe życie. To jest radość wieczności przepełniająca chwile, a nie beztroska radość samej chwili, znikająca jak pył.

Bo trzeba jedno pamiętać — człowiecze gody życia muszą być godne. W tych słowach kryje się cały majestat wspólny człowiekowi i naturze. Właściwy wszystkiemu temu, co ma być „prawdziwe". A prawdziwe znów może być to tylko, co jest Boże i głębi zawsze szukać trzeba. Na głębiach są wiry i w nich się tonie — ale czyż dlatego iść erzatzem i płyciznami? Trzeba szukać piękna i walczyć o nie — zwycięstwo zawsze przyjdzie. Uciekać tylko nie trzeba, błędy zawsze się robi, ale one nie przeszkadzają. Trudno „*humanum est errare*".

KAROL STEFAN FRYCZ

Z OBCEGO ŚWIATA

NIEUDANA PRÓBA MOSKWY

ROZNIECAJĄC rewoltę komunistyczną w Hiszpanji, Moskwa snuła ambitne plany próby podpalenia Europy, a co za tym idzie i świata, od strony zachodu, tak jak kiedyś robiła wysiłki, ażeby podpalić świat od wschodu, w Chinach, za pomocą akcji Borodina. I zdawało się, iż plany te będą miały wszelkie szanse powodzenia; rewolucja hiszpańska zataczała z każdym miesiącem coraz szersze kręgi. Jednocześnie zamęt polityczny we Francji na tle liberalizmu doprowadzonego aż do zwyrodnienia, pogłębiał się.

Niespodziewanie jednak (podobnie jak było w Chinach z Czang-Kai-Szekiem) wybuchnęła na półwyspie Pirenejskim rewolucja, ale narodowa, gen. Franco. Wybuchnęła w ostatniej niemal chwili, przed przetworzeniem Hiszpanji na kolonję Związku Sowieckiego, wybuchnęła jednak dla powstańców za wcześnie, jeśli idzie o przygotowanie, co spowodowało długotrwałą, bo dwuletnią wojnę domową.

Losy tej wojny są już przesądzone. Aczkolwiek działania wojenne przeciągną się jeszcze niewątpliwie z kilka miesięcy, tc jednak zwycięstwo gen. Franco nie ulega dla nikogo wątpliwości. W tej beznadziejnej sytuacji, Barcelona, ośrodek czerwonej rewolty hiszpańskiej, pragnie siebie ratować za pomocą rozpętania ogólnego zamętu wojennego w świecie. Moskwa plan zaaprobowała, o ile go nawet nie zainspirowała. I tak w przeciągu ostatnich dni świat cały znalazł się w obliczu wojny. Rząd bowiem barceloński za pośrednictwem swego ambasadora w Paryżu oświadczył, iż w razie dalszego bombardowania miast otwartych, odpowie w ten sam sposób nie tylko na terenach zajętych przez wojska gen. Franco, ale też i na tych terenach, z których przybywają samoloty bombardujące. Groźba była jasna, wyraźna, a dotyczyła Włoch.

Mussolini nie czekał oczywiście na jej wykonanie, ale za pośrednictwem swego *chargé d'affaires*" w Paryżu p. Prunos odpowiedził, iż Włochy odpowiedzą w sposób nieubłagany na represje zapowiedziane w Barcelonie. Rzymsku „*Tribuna*" wyjaśniła słowa p. Prunos w ten sposób, iż w razie jakiejkolwiek próby ataku samolotów czerwonych na terytorjum włoskie, dni Barcelony byłyby policzone już nie na godziny, ale na minuty.

Zdecydowana postawa Włoch, skłoniła do ustępstw Barcelonę i znalazła nawet uznanie wśród sfer dyplomatycznych Londynu oraz Paryża. I nie tylko wśród nich, ale i wśród opinii politycznej obu tych krajów. Nawet przywódca socjalistów francuskich Blum oświadczył, iż zgadza się z polityką min. Bonneta i lorda Halifaxa, dążącą do uspokojenia rządu barcelońskiego i przestrzegania go przed nieobliczalnemi krokami. Jedynie „*Humanité*" komunistyczna jest mocno rozżalona na stanowisko rządu francuskiego i nie szczędzi mu ostrych słów krytyki.

Stanowisko Moskwy, które nie poparło zdecydowanie żądań Barcelony, a nawet pokojowe deklaracje Litwinowa złożone w tym czasie świadczą, iż Centrala Związku Sowieckiego zaabsorbowana jest przedewszystkiem sprawami zewnętrznymi ZSRR i nie posiada już prężności oraz dynamiki pierwszych lat rewolucji, gdy na Kremlu dyktatorem był nie Stalin, ale Lenin. I tak z całego incydentu — jakże charakterystycznego! — można wysnuwać wnioski bardzo szerokie. Moskwa może i pragnie prowadzić swoją akcję na szeroką skalę, ale już nie jest w stanie. Rewolucja komunistyczna, jak widać, jest w Rosji już nie czemś żywem, ale zjawiskiem, które w dużej mierze spoczywa w muzeach i archiwach.

BICKLER

DOWODEM aktywności polityki III-ej Rzeszy jest to, iż stale każe zwracać na siebie uwagę. Uwagę tę koncentruje świat cały w tej chwili na Sudetach i na wodzu Niemców sudeckich Henleinie. I zupełnie słusznie, problem bowiem Czechosłowacji jest dzisiaj problemem najbardziej ciekawym a może nawet z tych ważnych najważniejszym. Polityk, atoli wytrawny, musi umieć patrzeć równocześnie na kilka punktów. Wtedy dopiero zdolen jest ocenić sytuację, wyciągnąć wnioski.

Na jeden moment oderwaliśmy się niedawno od ziemi sudeckiej i spojrzeli na Kłajpedę, gdzie Niemcy, realizując plan Rosenberga, poczęli śmiało podnosić głowy, domagając się autonomii, oraz strojąc domy swe sztandarami opatrzonymi swastyką.

Po kilkunastu dopiero dniach zrozumieliśmy, co znaczą białe pończochy, w które przystroili się

Niemcy na terenie Małopolski Wschodniej w dniu Zielonych Świątek. Toż to przecież nic innego, jak tylko chęć upodobnienia się do henleinowców... Sudety w ziemi Czerwieńskiej? Trochę nawet śmieszne, ale jakże dla nastrojów ludności niemieckiej w Polsce symptomatyczne!

W tej chwili pragniemy zapoznać czytelników z nowym nazwiskiem o tendencjach wodzowskich. Nazwisko to — to Bickler.

Kim jest ów Bickler? Przywódca *„Jungemannschaft“* w Alzacji i Lotaryngii, tym razem nie nauczyciel gimnastyki, jak Henlein, ale młody adwokat, obywatel francuski od roku 1920-ego, człowiek, który poczyna zapewniać świat, iż gdyby na terenach Alzacji i Lotaryngii zarządzono plebiscyt, 80% ludności głosowało by za autonomją. „Autonomją”... Wiemy co to znaczy.

Ruch autonomiczny alzacki datuje się mniej więcej od roku 1923-go, kiedy Niemcy otrząsnęły się z pierwszego wrażenia klęski i poczęły prowadzić politykę zdążającą do zwalania punkt po punkcie postanowień traktatu Wersalskiego.

Ruch autonomiczny pomyślany był sprytnie, najlepszy dowód, że „chwycił teren.“ W roku 1927 dochodzi nawet do przedziwnej, zaiste, koalicji wyborczej, która połączyła we wspólny front autonomistów, katolików i komunistów. W kilka lat potem katolicy spostrzegli swój błąd karygodny. Rok też 1931-szy i następne przynosi na terenach odebranych Rzeszy przez Francję w roku 1918-ym wzrost nastrojów patriotycznych, nacjonalistycznych, francuskich.

Ale w Niemczech, tymczasem, dochodzi do głosu Hitler na czele partji narodowo-socjalistycznej, która dokonała przełomu rewolucyjnego. I Rzesza poczyna szybko zabliźniać rany zadane jej przez Wielką Wojnę. Sława dokonań rządu, w sposób doskonały reklamowanych przez oficjalne ministerstwo propagandy przedostaje się zagranicę. Oczywiście dociera do Alzacji i Lotaryngji, która, pozostając w dzisiejszych granicach, wciągnięta jest tym samym w anarchiczne, nieimponujące, zalatujące rozkładem życie polityczne Francji. Walka zaczyna przybierać na sile, a szanse poczynają stawać się nierówne.

Autonomiści coraz bardziej i coraz otwarciej poczynają przeradzać się w jawnych zupełnie Niemców, którzy wciąż jeszcze głoszą zasadę autonomji, oczywiście dla celów taktycznych.

Zorganizowani są w t. zw. *„Landspartei“* z Pawłem Schallem oraz Karolem Roosem i Hanssem na czele.

Wkrótce wypływa inna partja, raz już w niniejszym artykule wspomniana — *„Jungmannschaft,“* grupująca elementy młodsze, bardziej aktywne, posiadająca już nie szefa, ale poprostu „wodza,“ którym jest właśnie Bickler.

Rozpoczyna się między tymi dwoma organizacjami nie walka, nie rozgrywka o wpływy, ale współzawodnictwo, które, o ile wysunie zdecydowanie na czoło *„Jungmannschaft“* doprowadzi w konsekwencji do zlania się wszystkich Niemców alzackich w jedną „totalną“ organizację z *„Führerem“* Bicklerem. W tym kierunku idą wysiłki ambitnego adwokata.

Czy i kiedy to mu się uda? — Oto pytanie, na które w tej chwili odpowiedzieć trudno, to pewna, że za nim stoi III-cia Rzesza, że jest złączony węzłami organizacyjnymi z partją w Berlinie. Bickler ma zadanie trudne, daleko trudniejsze, aniżeli Henlein w Sudetach. Francja jednolita etnicznie to nie Czechosłowacja posekowana na nieoficjalne, ale faktyczne kantony narodowościowe. I Francja, jest bądź co bądź, mocarstwem.

Mimo wszystko akcja hitlerowska czyni próby zapalenia swego ogniska na ziemi francuskiej, tak jak to robi w Belgji (okręgi Eupen i Malmedy), jak to czyni w Szwajcarji, na Litwie, Łotwie, w państwach skandynawskich, szczególnie zaś Szwecji, a nawet i poza Europą — w Brazylji i południowej Afryce.

Akcja ta ma swoje plany i swoje metody. Zasadą działania jest *„Führerprinzip.“* Ciężar kierowania, ale jednocześnie i zaszczyt kierowania tym razem przypadł Bicklerowi.

Kto wie, czy o nim wkrótce nie będzie głośno. W każdym razie głośniej, aniżeli dzisiaj.

NAUKA I LITERATURA

Z PODRÓŻY PO POLSCE

WYDAWNICTWA regionalne R. Wegnera z Poznania mają u nas zasłużoną sławę. Wydany ostatnio tom „Sandomierskie i Góry Świętokrzyskie“ Aleksandra Patkowskiego potwierdza ustaloną już renomę wydawnictwa. Tom, wydany na luksusowym papierze, ozdobiony olbrzymią ilością świetnie odbitych fotografii i reprodukcji, wywiera imponujące wrażenie. Nie mała tu oczywiście zasługa autora, który pieczołowicie przeprowadził dobór ilustracji, nie tylko współczesnych, ale i dawnych, o historycznej wartości, wyszukanych w niełatwo dostępnych zbiorach i archiwach, zarówno prywatnych, jak i państwowych. Zdaniem mem — ilustracje to *maior pars operis*. W sposobie opracowania całości przez Al. Patkowskiego widać nie tylko jego sporą wiedzę przyrodniczą, polityczną i kulturalną obszaru sandomiersko-kieleckiego, ale, co również ważne, umiłowanie przedmiotu. Jest to książka, wypiastowana przez autora, co snadniej ocenić może osoba, która do jej studium przystępuje z tendencją, pokrewną autorowi, to jest z nastawieniem emocjonalnem, jak jest w wypadku niniejszym. Mimo wszystko jednak książka Patkowskiego nasuwa zastrzeżenia bardzo poważne i to zasadnicze. „Sandomierskie i Góry Świętokrzyskie“ w metodzie opracowania, w pomyśle zasadniczym jest bezapelacyjnie i gruntownie płodem poronionym. Książka powstała pod nakazem chwili, pod nakazem takich względów, które nic wspólnego z wydawnictwami typu naukowego nie mają. Wypada się zapytać, co ma piękno krajobrazu, piękno ludu, urok jego folkloru i przeszłości historycznej, która opromienia kielecczyznę i sandomierszczyznę, ze względami koniunkturalnymi chwili obecnej, choćby rzędu najwyższego? Dlaczego przedmowę do dzieła pisze minister resortu gospodarczego, a nie przedstawiciel kultury duchowej dnia dzisiejszego? Na książce zaciążyło przekleństwo propagandy politycznej, podczas gdy zadaniem jej jedynem powinna być propaganda jedna: propaganda kulturalna. W wyniku założeń autorskich, wypływających z przesłanek natury ubocznej, stało się, że w wydawnictwie o charakterze ściśle regionalnym znalazły się obok siebie obszary, których jedność ustalono w sposób absolutnie mechaniczny: na jedności staropolskiego zagłębia kieleckiego z rozbudowanym obecnie sandomierskim okręgiem przemysłowym. Brak jest natomiast głębszego uzasadnienia łączności kulturalnej obu obszarów geograficznych. Kielecczyznę i Sandomierszczyznę należało opracować osobno, w dwu osobnych wydawnictwach; wtedy Góry Świętokrzyskie i wogóle cała kielecczyzna zyskałyby właściwą sobie plastykę. W książce p. Patkowskiego stanowią wyrostek robaczkowy C. O. P.'u sandomierskiego.

ALEKS. KRASIENIECKI

PROBLEM KOMUNIZMU [1])

KSIĄŻKA Bierdiajewa ideowo i treściowo związana z „Nowem Średniowieczem", którego tezy rozwija i pogłębia. W trzech rozdziałach a mianowicie o „Prawdzie i fałszu komunizmu", „Psychologia rosyjskiego nihilizmu i ateizmu" oraz o „Linii generalnej sowieckiej filozofii" wyprowadza autor komunizm dzisiejszy nie tylko z marxizmu ale i rodzimego rosyjskiego mesjanizmu (Moskwa — Trzeci Rzym), oraz z nihilizmu, który jest oryginalnym wytworem ducha rosyjskiego. Ma komunizm wszelkie cechy religii, tylko bez Boga, na miejscu człowieka postawił społeczeństwo. W „Nowem Średniowieczu" Bierdiajew przedstawił komunizm jako krańcowy etap rozkładu humanizmu i materializmu.

Autor należy do najgłębszych analityków współczesności, którą ujmuje z punktu widzenia religijnego. I rewolucję rosyjską uważa za dopust Boży, za karę zesłaną przez Opatrzność na naród cały za grzechy wiekowe. Zgodny w tym z Mereżkowskim. Podobnie jak nasz A. Cieszkowski dzieje ludzkie uważa za objaw interwencji Boga, uważa też wolę ludzką za najcenniejszy dar Boży, bez którego człowiek nie byłby człowiekiem. Dlatego niesłuszny czynią bolszewicy zarzut chrześcijaństwu, że nie umiało wyzwolić ludzi od cierpień i zła, zapominają o wolności ducha ludzkiego, o niemożności narzucenia z zewnątrz mechanicznej organizacji, o drodze przymusu. Komunizmowi trzeba przeciwstawić integralne chrześcijaństwo.

Sowiecka filozofia właściwie nie istnieje, stworzyli myśliciele sowieccy „linię generalną marxizmu - leninizmu", ale zagadnień nie rozstrząsają wobec zupełnego braku wolności, a ich materializm jest właściwie hylozoizmem. W komunizmie widzi autor dużo istotnych sprzeczności n. p. niechęć radykalną ku przeszłości, sprzeczną z rozwojem dialektyzmu, który przyjmuje, że przeszłość wchodzi częściowo do przyszłości, że w syntezie mamy zarówno elementy tezy jak i antytezy. Tymczasem komuniści utrzymują, że historia zaczęła się dopiero od nich, co jest absolutnie antydialektyczne. Sama rzeczywistość, z którą komunizm rosyjski ma do czynienia, jest w pewnej mierze wytworem intelektualnej wyobraźni, idealizmu, fantasmagorii. Tworzy nowe mity i fantazmata.

Żadna siła z zewnątrz nie przyniesie Rosji zbawienia, twierdzi w „Nowem Średniowieczu" autor, płonne są wszelkie próby krucjat antykomunistycznych. Zbawienie wyjdzie od samego narodu rosyjskiego, który przezwyciężyć musi tę chorobę u siebie. Dużo jeszcze krwi zleje tę umęczoną ziemię nim się rozstrzygnie, kto ma zapanować: Chrystus czy Antychryst. Nie wątpi autor, że zapanuje Chrystus, gdyż widzi równolegle z komunizmem wzrastające głębokie odrodzenie religijne.

Przekład książki naogół dobry, korekta fatalna.

J. Św.

[1]) Mikołaj Bierdiajew: Problem komunizmu. Warszawa 1937. „Rój". Z upoważnienia autora przełożył Marian Reutt. Str. 202 + Knlb.

RUCH WYDAWNICZY

J. Straszewski. „Życie codzienne i świąteczne. Waszmość Pana i Jejmość jego małżonki". Warszawa — 1938 Tow. wyd. „Rój". Str. 238.

Ciekawa i pożyteczna książka, z pewnością bardziej interesująca od wielu przeciętnych powieści, pisanych przez początkujących autorów i rzucanych w obfitości na rynek księgarski. W szeregu barwnych rozdziałów ukazano tutaj czytelnikowi codzienne życie szlachty polskiej na przestrzeni szczególnie w. XVII i XVIII, zahaczając potrosze i o XVI stulecie.

Poszczególne szkice nie roszczą pretensji do naukowości, nie przygniatają nas aparatem erudycji, żywią zato chwalebną ambicję spopularyzowania wiadomości o niezbyt odległej, ważnej historycznie epoce. Forma opowiadania jest przytem lekka i powabna, zaprawiona oszczędnie ironią, pozwalająca współczesnemu niecierpliwemu czytelnikowi strawić sporą porcję wiedzy o dawnych obyczajach i trybie życia, o gatunku ówczesnej kultury materialnej. Na tę ostatnią bowiem położono w książce szczególny nacisk, ta część obrazu wypadła naprawdę przekonywująco.

Gorzej wygląda malowidło zewnętrznego życia dawnych Polaków, których autor mimo pewnych pozorów — zaglądania do najbardziej dyskretnych ubikacyj mieszkaniowych — zdaje się rozumieć dość powierzchownie. Lub może, nastawiony na inną długość fali, nie chwyta fal nadawanych z narodowego elizjum... Albo też mylnie niekiedy, fałszywie je rejestruje.

Tak więc, nie wychodzi poza najbardziej konwencjonalną ocenę dworskiego i sarmackiego baroku, obowiązującą w epoce antitradycyjnego oświecenia.

„Uczony" autor rad się prześmiewa przytem z takich lokalno-polskich *curiositates*, jak wiara naszych przodków i nasza, że grzech śmiertelny toruje złym mocom do duszy drogę. Tę wiarę religijną składa na karb zabobonu...

Całości brak syntezy, atmosfery wnętrza szlacheckiego dworu, ciepła kulturalnego, jakie zdołał on mimo rozterek wojennych wytworzyć. Autor, choć oparł się na relacjach Reja, Wacława Potockiego, Rzewuskiego — że wymienimy najbardziej znanych pisarzy, będących żywą kroniką kultury szlacheckiej — zagubił po drodze ich czar nieuchwytny, nie wzbogacił obrazu uczuciem z własnej głębi duchowej wysnutem. Co nie przeszkadza, że układ materiału został tu obmyślony porządnie, a pogląd p. S. na postęp cywilizacyjny społeczeństwa wielce jest rozsądny.

St. J.

*

Opowiadania Marii Dąbrowskiej [1]) łączą się z tetralogią „Noce i dnie," więc są to pewnego rodzaju „Parerga" i „Paralipomena," podobnie jak „Rozmowa i milczenie" Gojawiczyńskiej w stosunku do „Dziewcząt z Nowolipek." Życie... jakaż bogata treść w tym jednym skromnym wyrazie. Ileż treści i przyżyć w najbardziej szarej postaci można odkryć, jeśli się zastosuje zasadę Mickiewiczowską „Miej serce i patrzaj w serce"! Jakże łatwo nie wniknąwszy głębiej w duszę człowieka potępić go całkowicie. A tymczasem trzeba go ukochać. Ot taka bibliotekarka w świetlicy żołnierskiej, typ przeraźliwej głupoty i pospolitości, płytka i ograniczona— a jednak i dla niej znajdzie się ostatecznie u autorki uśmiech życzliwości i — ludzkie współczucie. Zważyć tylko, że za jedyną radość i wartość życiową ma — sukę, z którą kiedyś dokonała czynu bohaterskiego w Łomży, no i czasami uśmiech żołnierza wypożyczającego książki. To także znaki życia mieć tylko trzeba litość dla tych „skarbów" człowieka, a tak łatwo go było zepchnąć, zwłaszcza gdy wskutek głupoty znajdzie się na brzegu przepaści.

Trudniejsza sprawa z „księdzem Filipem" — Fałszywym okazał się w jego życiu punkt wyjścia — księdzem stał się nie z przekonania. I to się mści. Rozpija się, stacza się coraz niżej, a jednak i on rozumie mękę duszy ludzkiej, gdy spowiada chłopa. Miary jego nieszczęść dopełnia stosunek z Werosią, dawną wychowanicą jego matki. Staje się zgorszeniem całej parafii; gdy otrzymał wezwanie od biskupa, umiera nagle. To tragiczny znak życia.

W obręb spraw poziomych, codziennych kłopotów wprowadzają nas dwie nowele „Drobiazg" i „Oktawa." Zwłaszcza druga każe nam przypatrzeć się willi nadmorskiej, jej kłopotom finansowym, różnym typom lokatorów i t.p.

Ostatnia nowela „Szkiełko" mówi o pobycie Śniadowskiego w więzieniu w r. 1906. Pokazuje metody śledztwa moskiewskiego; oto generał z początku ojcowski, a nie mogąc nic wydobyć z Marcina zmienia się w obrzydliwego tygrysa. Te długie, monotonnie ciekące dni i noce w celi więziennej jako przypadkowego powiernika i bezcennego przyjaciela mają kawałek szkiełka. Już ta świadomość, że każdej chwili może to szkiełko bramy otworzyć wolności, czyni więźniowi życie znośnem. Gdy tedy wypuszczono na wolność Marcina, pozostawił we framudze szkiełko — może jeszcze komuś przysługę wyświadczy.

Głęboko wnika autorka w dusze ludzkie, rozumie motywy ich działania, to co działają na zewnątrz, to znaki życia jakże nieraz na wewnątrz skomplikowanego. J. Św.

[1]) Maria Dąbrowska: „Znaki życia". Pięć opowiadań Warszawa 1938. Wyd. J. Mortkowicza. Str. 168.

*

Staraniem Wydziału Propagandy Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego ukaże się w końcu bieżącego lata Kalendarz propagandowy dla najszerszych mas p. t. Kalendarz Narodowca," na rok 1939, w masowym nakładzie.

Kalendarz, obejmujący około 200 stron druku, posiadać będzie obfitą treść informacyjną, publicystyczną i beletrystyczną, liczne ilustracje, piękną, barwną okładkę. Stanowić on będzie cenny nabytek dla każdego, szczerze polskiego domu.

Cena kalendarza wynosić będzie 90 gr. W sprawie zakupy hurtowego, oraz w sprawie ogłoszeń zwracać się należy do Wydziału Propagandy S. N. Warszawa, Al. Jerozolimskie 17 m. 5.

Z TEATRU

„CYGANERJA PARYSKA"

W TEATRZE POLSKIM

SZEROKI ogół do dziś wyobraża sobie poetę, malarza, muzyka, filozofa — jako ludzi o rozwichrzonych czuprynach, obłędnym nieco wzroku, mających magiczną siłę wymowy i spojrzenia, strój oryginalny i niedbały i — rzecz oczywista — pozbawionych zdrowego rozsądku i zmysłu gospodarczege. Lud środkowej i wschodniej Europy np. polski i rosyjski w mniej oświeconych ośrodkach dotąd jeszcze miesza warjatów i pomyleńców z ludźmi utalentowanymi. Czyżby instynkt warstw niekulturalnych potwierdzał popularny pogląd Lombrosa, że genjusz jest bliski obłędowi? Podobne stanowisko w zakresie sztuki i filozofji zajmują instruktorzy wojskowi, zwłaszcza w stosunku do „rekrutów z cenzusem". Tam, gdzie panuje najchłodniejsza trzeźwość (w myśleniu!) i najbezwzględniejszy realizm, — zawsze bodaj będzie ciętym wyzwiskiem, pogardliwym określeniem: warjat, poeta, albo filozof.

W każdym razie artyści nie mieli nigdy dobrej opinji, nie cieszyli się zgoła głębokim szacunkiem uczciwych ojców rodzin i konsumentów chleba, filistrów i burżujów.

Teraz czasy się zmieniły ale niedlatego, żeby tego szacunku przybyło. Tylko zmieniła się w znacznej mierze psychika artysty. Artyści tworzą z natury luźną społeczność, bo to są sobiepany, zamknięte światy, wybujałe indywidualności. Niewątpliwie jednak pewne ich wspólne cechy psychiczne i niejakie podobieństwo warunków społecznych, w jakich dziś żyją, złożyły się na ukształtowanie nowoczesnego typu artysty. Odbiegł ten typ daleko od „cygana" — czy to paryskiego, z czasów Murgera czy to warszawskiego i krakowskiego z okresu młodości Nowaczyńskiego i Berenta.

Genezy historycznej tej cyganerji trzeba by szukać bodaj w typie średniowiecznego wagabundy - trubadura, o którym pisał Beret w „Żywych kamieniach".

Dziś ani w Paryżu, ani w Warszcwie nie znajdziesz cygańskiego towarzystwa. Indywidualności bujne pozostały, kult wolności jest, alkohol i dzika miłośc przeważnie także. Nie ma jednak najważniejszego, co pchało tamtych ludzi na włóczęgę... po kamieniach, brukach i poddaszach: nie ma pogardy dla filisterstwa, ale owszem, jest kult wygody, pozycji społecznej, protekcji; jest kult pieniądza. Zmieniła się moralność artysty; sztuka stała się rzemiosłem wytwory jej przeznaczono na giełdę z całym aparatem reklamy. Artysta szuka natchnienia w burżuazyjnym komforcie. Niechby szukał zresztą gdzie chce, byleby je — znajdował. Znikła w Polsce od lat kilkudziesięciu atmosfera życia kulturalnego, którego oazy tworzyły, jeszcze za Jadwigi Łuszczewskiej i młodości Norwida tak zw. salony, a potem kluby literackie i redakcje czasopism. Na to miejsce powstały organizacje zawodowe artystów i literatów, mające na celu obronę interesów gospodarczych swoich członków. Pozatym czynnikiem łączącym ludzi sztuki jest wzajemna reklama, albo wspólna walka z podobnie zorganizowanymi konkurentami. Na tych podstawach tworzą się t. zw. „kapliczki" we Francji i nie tylko we Francji. Ducha cygaństwa nie ma; cyganerja pozostała romantycznym wspomnieniem, pociągającym jako temat literacki.

Dziś na scenie przeróbka dramatyczna utworu Murgera nie budzi entuzjazmu. W sferach szerokich publiczności teatralnej brak zrozumienia filozoficznych dowcipów takiego np. Baptysty i panuje naogół krytyczny stosunek do towarzystw, wyrażającego w praktyce i w słowach pogardę dla burżuazyjnej przeciętności. Sfery zaś artystyczne doby dzisiejszej patrzą z pogardą na awantury i szaleństwa, na blaski i nędze muz wyzwolonych, błąkających się za ideałem. Patrzą z fałszywym uśmiechem — oni, reprezentujący pchanie się do kas państwowych, traktujący sztukę przeważnie jako przemysł i handel.

Te, społeczne raczej powody, nie decydują jednak o niepowodzeniu komedji. Rzecz polega głównie na niewysokim poziomie przeróbki dramatycznej. Sztuce brak poprostu zwartej konstrukcji, tempo wydarzeń jest zbyt wolne. Szwankuje zasadnicza koncepcja utworu. Powikłanie akcji jest niewielkie i nie zaciekawia. Brak jakiejś intrygi lub konfliktu pchającego akcję naprzód jednym nurtem przez wszystkie sceny. Właściwie mamy do czynienia z kilku kolejnymi tarapatami; czynnikiem łączącym całość są tylko osoby. Autor przeróbki wplótł do komedji kilka kapitalnych pomysłów Murgera i wykorzystał wspaniałą koncepcję filozofa - służącego. Ta sylwetka dostarczyła mu całego pasma komicznych komedjowych kontrastów. Postać owa dzięki kreacji Jacka Woszczerowicza wysunęła się właściwie na plan pierwszy sztuki. To było główne źródło dowcipu, komizmu. Co do ról kobiecych trudno sobie wyobrazić lepszą obsadę niż El. Barszczewska (jako Mimi, sentymentalnie idealna kochanka poety, konająca w ostatnim akcie). Modzelewska (Musette) M. Żabczyńska (Femia) oraz H. Buczyńska (wdowa). Rolę Rudolfa kreował Zb. Ziembiński; Marcelego Stefan Michalak.

Aby nie pominąć żadnej z b. dobrych lub przynajmniej udatnych kreacji trzebaby przepisać cały afisz.

Dzięki zespołowi aktorskiemu widowisko, mimo wad przeróbki literackiej, pozostawia miłe wrażenie, dostarczając chwilami niezłych emocji natury farsowej lub melodramatycznej.

Sztukę napisał wg. H. Murgera i T. Barrier'a — M. Hemar. Inscenizacja i reżyserja jest dziełem Zb. Ziembińskiego. Dekoracje wykonał St. Śliwiński.

T. D.

NOWE KSIĄŻKI

Staudynger Jan. Marionetki. Z 3-a ryc. Lwów. Książnica Atlas. Str. 147.

Złoty Szlak. Kwartalnik, poświęcony kulturze ziemi Halickiej. Stanisławów 1938. Zesz. I. S. 80 z ilustr.

Gunnarsson Gunnar. Okręty na niebie. Powieść. Przeł. H. Leśniewski. Warsz. 1938. Renaissance.

Prokosch Fred. Azjaci. Powieść. Tamże.

Giono Jan. Jan Błękitny. Powieść. Tamże.

Gunnarson Gunnar. Życie minęło jak sen. Powieść. Tamże.

Klepacz Michał ks. Ideał średniowiecza a czasy obecne. Wilno 1938. „Sprawy otwarte". Str. 36.

Niepodległość. T. XVII, zesz. 3.

Straszewski Jan. Życie codzienne i świąteczne WPana i JM. jego małżonki. Warsz. 1938. Rój.

Waśniewski Jan. Po dniówce. Opowiadania. Warszawa 1938. Rój.

Krokowski Stanisław. Wschodzący dzień (Poezje). Poznań 1938. Skład w księg. Św. Wojciecha.

PARĘ UWAG O SPÓŁDZIELCZOŚCI

NIEDAWNO odbył się doroczny 26-y z kolei, zjazd Związku „Społem”, który organizuje korporację spożywców. Ze sprawozdania dowiadujemy się, że obroty towarowe Związku wyniosły z górą 90 milionów złotych. Obroty te zwiększają się z każdym rokiem. Z tego widać, że to instytucja gospodarczo potężna. Zakłady wytwórcze „Społem” zwiększają corocznie swoją produkcję, wyrabiając najprzeróżniejsze artykuły. Ostatnio rozpoczęto pod Sandomierzem budowę fabryki przetworów owocowych, która będzie przerabiać rocznie 300 wagonów jarzyn i owoców, między innemi wytwarzać będzie także i płynne owoce.

Rola gospodarcza takiej instytucji jest olbrzymia i dodatnia. Zatrzymajmy bowiem uwagę naszą na chwilę właśnie na tych owocach, których urodzaj w roku ubiegłym był ogromny. Z powodu niezorganizowanego zbytu oraz braku znaczniejszej liczby fabryk przetworów owocowych ten urodzaj był dla posiadaczy sadów raczej klęską. Czytaliśmy wiadomości w gazetach, zasługujących na zaufanie, że na Kresach Wschodnich biedni Poleszucy, nie mając zbytu na jarmarku, wysypywali do rowów całe fury jabłek, albowiem nieopłacało im się męczyć konia bezużytecznym towarem. Otóż spółdzielcza przetwórnia owoców, któraby w dodatku zorganizowała zbyt i skup, przysłużyłaby się nietylko konsumentowi, ale też, co jest może ważniejsze i — wytwórcy, owemu drobnemu rolnikowi, mającemu sadek. Znany jest fakt, że handel owocami, nietylko zagranicznemi ale i krajowemi, zmonopolizowany jest w ręku żydów. Otóż wyrugowanie pośrednictwa i zorganizowanie zbytu owoców i jarzyn, to podniesienie dochodowości drobnego rolnika, a nawet — po pewnym czasie — możność kształtowania takiej a nie innej produkcji rolnej.

Przed 60-ciu laty Dania stała wobec klęski gospodarczej. Produkcja zboża przestała się opłacać. Należało zmienić system gospodarki, przejść na hodowlę. Ale do tego potrzeba: organizacji, znajomości rynku i przedsiębiorczości. Rolnictwo duńskie dało sobie radę ze wszystkiemi trudnościami, dzięki właśnie kooperacji i wiejskim uniwersytetom ludowym, zainicjowanym przez Grundtviga. Dziś Dania jest perłą rolnictwa europejskiego. Spółdzielnie mleczarskie, rzeźnie spółdzielcze, spółdzielcza organizacja jaj — przekształciły duńską gospodarkę rolną, przyczyniły się do wysokiego dobrobytu rolnika duńskiego i znane są w całej Europie, której mogą służyć za wzór.

Na ziemiach polskich pod zaborem pruskim zaczęto organizować samoobronę narodowo - gospodarczą za pomocą spółdzielczości. Wielkie zasługi na tem polu położyli Marcinkowski, ks. A. Szamarzewski, a zwłaszcza ks. Piotr Wawrzyniak, który, stojąc na czele Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych, wpłynął na przeobrażenie ekonomiczne nietylko wsi wielkopolskiej, ale i całego społeczeństwa. Dość powiedzieć, że obejmując w r. 1891 kierownictwo Związku Spółek Gospodarczych zastał ks. Wawrzyniak 71 spółek należących do Związku, z liczbą 26,000 członków $2^1/_2$ milj. marek udziałów, 1 milion rezerw oraz 12 milionów depozytów. Po latach dziewiętnastu czyli w roku śmierci pozostawił 248 spółek z liczbą członków 116.800, udziałów 22 milj. marek, 11 milj. marek rezerw i $177^1/_3$ milj. marek wkładek oszczędności.

Te cyfry mówią o zasługach ks. Wawrzyniaka dla rozwoju spółdzielczości, ale również są świadectwem przeobrażenia społecznego i gospodarczego, jakie nastąpiło w Wielkopolsce. Pamiętajmy bowiem, że najbardziej rozwinęły się trzy typy spółek: kredytowe, parcelacyjne, oraz dla zakupu i sprzedaży, t. zw. Rolniki. Przecie spolszczenie handlu Wielkopolska zawdzięcza — spółdzielczości.

Ostatnio prof. M. Rapacki, naczelny dyrektor „Społem” w książeczce „Spółdzielczość spożywców na wsi” propaguje zakładanie stowarzyszeń spółdzielczych wiejskich, wychodząc z założenia, że „interesy chłopa, jako spożywcy nabierają szczególnej wagi ze względu właśnie na niesłychanie niski dochód społeczny i na konieczność możliwie oszczędnego i wydajnego zużytkowania tego dochodu”. Stanowisko to nie wydaje się nam słuszne. G o p o d a r c z a rola chłopa jest ta, że jest on przedewszystkiem producentem. Jest on przedewszystkiem zainteresowany w produkcji i zbycie płodów rolno-hodowlanych. I dla tego ważniejsza jest dla niego nie kooperacja spożywców, lecz spółdzielczość rolnicza. Zresztą w programowym artykule „Dla kogo jest spółdzielczość?”, napisanym w Nr. 17 „Spólnoty” z 10 czerwca) dosyć enigmatycznie przez p. St. Thugutta, długoietniego działacza na niwie ludowej, nie ma zgoła widocznej odpowiedzi, że także i — dla ludu wiejskiego. Powtóre zdobycze u nas spółdzielczości rolniczej, która się ogniskuje w Związku Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo - Gospodarczych, oraz nikłe wyniki kooperacji spożywców na wsi wskazują na to, że wieś zorganizować można i należy na zasadach produkcji, a nie konsumcji.

Sądzimy więc, że nie rywalizować przez zakładanie spółdzielni spożywców na wsi, lecz współdziałać powinien Związek „Społem” ze spółdzielczością rolniczą tam, gdzie to jest możliwe.

Oprócz spółdzielni jajczarskich i mleczarskich, zbiornic jaj, spółdzielni rolniczo-handlowych różnego typu, ważne jest zorganizowanie spółdzielni rzemieślniczych, przemysłu ludowego, domowego, chałupniczego, spółdzielni ogrodniczych i t. p. Chodzi tu przedewszystkiem o zorganizowanie zbytu, przez co umożliwi się pracę i kawałek chleba większej warstwie ludności. Te dziedziny życia gospodarczego leżą odłogiem, a stan ekonomiczny na wsi jest taki, że należy wołać wielkim głosem, aby czem prędzej wzięto się do dzieła. Istnieje już w kraju kilka wsi, zorganizowanych spółdzielczo, z Liskowem na czele. Dobrobyt tam kwitnie. Są one ponadto rozsadnikami kultury i wyższego typu życia na całą okolicę.

Podniesie się stan gospodarczy i kulturalny ludności, zyska także kraj przez wzmożenie dobrobytu, a minister skarbu osiągnie większe wpływy podatkowe.

Niepokoić wszakże może objaw nadmiernego forytowania spółdzielczości ukraińskiej i niemieckiej, dzięki czemu przejawia ona coraz większą prężność i spoistość. Zwracają na to uwagę kooperatyści polscy.

QUIS

NA MARGINESIE

— Co robić z dozorcą, gdy otworzywszy bramę wyciąga do ciebie rękę?

— Trzeba mu podać swoją, bo cię zaskarży o obrazę całej kamienicy.

— A 20 groszy?

— Trzymaj je w dłoni, którą podajesz. Będzie miał podwójną satysfakcję.

*

Po wyborach marszałka Sejmu zrodziło się w kuluarach nowe przysłowie:

— Wyszedł jak Miedziński na Ozonie.

*

— Dlaczego kodeks honorowy wyszedł teraz z użycia?

— Przepraszam pana dobrodzieja: co to jest honor?

TREŚĆ:

Francja i Europa *St. Kozickiego*. — Prezydent Smetona a sprawy wewnętrzne Litwy *W-b*. — Pro modo *St. Pieńkowskiego*. — Początki literackie Słoweńców *Lumira*. — Król nowożytnych satyryków *Wł. Tarnawskiego*. — Dwanaście antymasońskich przykazań. — Na widowni *K. S. Frycza*. — Z obcego świata. Nauka i literatura *Aleks. Krasienieckiego*. i *J. Św*. — Ruch wydawniczy *St. J.* i *J. Św*. — Z teatru *T. D.* Nowe książki. — Parę uwag o spółdzielczości *Quis'a*. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.